Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CW 9013

Cena 20 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III | Warszawa, 14 grudnia 1947 r. | Nr 50 (107)

TREŚĆ NUMERU: A. Chciuk — Modlitwa do Ducha Świętego. Antoni Cwojdziński — Teatr w Ameryce. Stanisław K. Rostworowski — Wskazówki sprzed lat. Antoni Trepiński — O względności teorii planowania. Tydzień kulturalny. Stefan Kisielewski — Zbrodnia w Dzielnicy Północnej. Z zagadnień gospodarczych. Czytelnik uważa, że... Jacek Woźniakowski — Ciapuś nie jest winien.

Zygmunt Wasilewski

NASZA ŚWIADOMOŚĆ NARODOWA

Poglądy wyrażone w artykule p. Zygmunta Wasilewskiego nie we wszystkich punktach są zgodne ze stanowiskiem zespołu „Dziś i Jutro". Artykuł traktujemy jako materiał do dyskusji.

REDAKCJA

Zbyt długo Polacy borykają się z zagadnieniem samych zasad gospodarowania w swojej ojczyźnie. Czy kompleks pokory w poczuciu swej niższości, czy to obawa dźwigania odpowiedzialności za bieg dziejów? Tak czy owak widzieć w tym trzeba zahamowanie energii życiowej i stąd niedomagania zarówno w świadomości, jak i w sumieniu narodowym.

A przecież tak nie było zawsze. Nie sięgając w czasy dawne nieprzerywanej niepodległości, przypomnę, że nasi wielcy poeci romantyczni i myśliciele sygnalizowali nadejście nowych czasów, kiedy naród, dojrzały w swym poczuciu odrębności cywilizacyjnej, wkroczy w dzieje z całą świadomością swego posłannictwa i z całą odpowiedzialnością za dzieje. Powoływano się wówczas na świadectwo piśmiennictwa polskiego, będącego wyrazem tej świadomości.

Cóż nam dzisiaj wytrąca z ręki ten kompas narodowy, że po tylu smutnych doświadczeniach lat ostatnich dziś jeszcze w kołach oświeconych prawo organicznego rozwoju narodu traktowane bywa z przekąsem jako coś nie tak postępowego, jak zasada mechaniczna według doktryny liberalizmu.

Czysto racjonalistyczne hasła wielkiej rewolucji francuskiej, doprowadziły naszą myśl dziejową do takiego rozdroża: czy iść drogą normalnego rozwoju cywilizacji na zasadach rodowych i narodowych w zgodzie z prawami biologicznymi i wrodzonymi instynktami, czy też podążać w nieznaną przyszłość za przypadkowym wynikiem mechanicznego obliczenia woli jednostek, w danej chwili razem mieszkających, bez względu na to, czy posiadają wspólną ideę wytwarzania ze środowiska jednolitej osobowości psychicznej w postaci narodu.

Długotrwały okres bezdziejowości w wieku XIX zatrzymał nas w rozwoju duchowym. Dziadowie nasi byli pod bezpośrednim wpływem doktryn wielkiej rewolucji, a jednak bliżsi byli czasów nowych, wyznających zasady „nacjonalistyczne".

Cofnęliśmy się. Przyjrzyjmy się ostatniemu epizodowi naszych dziejów w tak szczęśliwej koniunkturze po odzyskaniu niepodległości, jak wyglądała nasza poczytalność narodowa. Było to jedno pasmo wojny domowej o ideę narodu. Państwo zamiast się zespolić z narodem, z jego organizowaną siłą psychiczną i moralną — wybrało tę drugą drogę dok tryny mechanicznej i uznało naród za swego wroga — do tego stopnia, iż z konstytucji samą tę nazwę społeczeństwa (wyraz „Naród") usunęło, zwolenników zaś idei narodu polskiego jako gospodarza kraju uznano za żywioł niebezpieczniejszy dla Państwa od wrogów ościennych.

Czy można sobie wyobrazić coś bardziej karykaturalnego w dziejach umysłowości ludzkiej, jak ten upadek zdrowego sensu? Stawiam t ę rzecz poza polityką, jako zjawisko kultury umysłowej. Do takiego stanu doszliśmy w fałszywej kulturze umysłów.

W jaki sposób z takiego biurokratycznego stanowiska pchnąć dzieje naprzód, na jakie siły psychiczne liczyć, do czego dążyć i którędy?!

Z tego zaniedbania umysłowego i moralnego trzeba się wydobyć, a zacząć — jak się pokazuje — od elementarnego zagadnienia — czym jest naród jako siła dziejowa twórcza, przekonać opóźnionych w wykształceniu ludzi dobrej woli, że naród jest postacią życia społecznego odmienną od innych typów społeczności, wytworzonych przemyślnością ludzką, że jest tworem przyrodzonym, że jest najwyższą w hierarchii świata organicznego kreacją i bynajmniej nie wytworem dowolnym, mechanicznym czy umownym.

***

Doświadczenie przekonało nas chyba gruntownie, że dla poczytalności obywatelskiej nie jest wystarczający stosunek do narodu tylko uczuciowy („kocham Ojczyznę"), albo tak ogólnikowe wyobrażenie: „naród to wielka rzecz". Trzeba się wtajemniczać wiedzą w przedmiot ukochania, jeśli ukochanie ma się stać siłą pozytywną. Ta elementarna zasada psychologiczna obowiązuje każdego obywatela. Gdy nie będzie tego zespolenia wiedzy o narodzie z uczuciem patriotycznym, dzieje narodu będą się toczyć poza świadomością obywateli, choćby jak najgoręcej nad losem narodu płakali.

W tym większej mierze zasada ta obowiązuje pisarzy, których działalność jest stałą z narodem rozmową, mającą na celu nie tylko serc krzepienie, ale instrukcję wychowawczą. Nie znajdziemy takiego pisarza polskiego, który by nie uważał siebie za patriotę, a przecież są między nimi tacy, którzy wyobrażeń swoich o narodzie nie kontrolują rzeczowo, zadawalając się bylejakim fragmentem polskiej rzeczywistości ze stanowiska specjalnego, państwowego, gospodarczego, nawet religijnego. Wielu znaliśmy w ostatnich czasach, którzy uznając się za patriotów, negowali istnienie narodu, jako bytu realnego Odsyłano nas z zagadnieniem narodu do poetów.

Uważam tedy sprawę uregulowania stosunku wyobrażeń o narodzie do systemu patriotycznego za pierwszorzędne zagadnienie kultury politycznej naszego narodu. Jest to zagadnienie psychologiczne ale sięgające daleko poza jednostkę. Staje się ono jednocześnie zagadnieniem socjologicznym w strukturze narodu Biorąc bowiem rzecz sumarycznie, sprawa wyobrażeń powinna być specjalnością sfer oświeconych, nazwanych dlatego właśnie „inteligencją", podczas gdy „sentyment", jako powszechniejsza i pierwotniejsza postać instynktu życiowego jest gównym kapitałem duchowym mas nieoświeconych. Gdy więc owa myśl „oświecona" psychikę narodową zawiedzie, nie dodając z siebie do cennego uczucia życiowego dostatecznej dozy wyobrażeń o przedmiocie sentymentu, to życie całości musi się toczyć na ślepo Gorzej nawet, ów podstawowy instynkt patriotyczny bez dróg myślowych może nigdy nie dojść do głosu w masach, a wśród zespołu, kierującego na pewno ulegnie schorzeniu, kończąc bądź zanikiem wszelkiej uczuciowości narodowej, bądź obłędem próżnej egzaltacji. Dzieje toczyć się będą w cherlactwie lub w konwulsiach. Z instynktem można tylko trwać, tworzyć dziejów bez rozumu niepodobna.

Należy w tym miejscu dodać wyjaśnienie, jak trzeba rozumieć ową przeciwstawność sfery oświeconej i reszty społeczeństwa. Mam na myśli sferę oświeconą w sprawach dotyczących stosunku jej do narodu. Można bowiem być świetnie kwalifikowanym inżynierem i korzystać z przywilejów, jakie daje przynależność do warstwy oświeconej, a faktycznie nie leżeć do pospólstwa w rzeczach narodowych ciemnego. Przeciwnie, chłop mający poczucie obywatelskie i rozumiejący, czym dla niego jest naród, będzie należał do elity narodowej.

Trzeba więc poddać rewizji popularny podział na podstawie stanowo-klasowej, nawet ten sympatyczny pogląd na lud wiejski, jako na ostoję narodu. Klasyfikować trzeba całą populację narodową wśród wszystkich warstwień i stanów na grupy: 1) społecznie nieodpowiedzialną i 2) społecznie odpowiedzialną, to znaczy na ludność pojęciowo i moralnie nie angażującą się w życie narodowe, i na obywateli narodowo uświadomionych.

Niepodobna przecież powtarzać w kółko: „lud potęgą jest i basta".

Ani tu, ani tam nie można mu wmawiać twórczych darów rozumu narodowego ale też ani tu, ani tam nie można zaprzeczać instynktu patriotycznego. Zespół kierujący powinien być potęgą jeszcze większą, ale za to łączyć musi w sobie zdrowe instynkty biologiczne z jasną świadomością dziejową.

Komu potrzebny byłby w tym miejscu plastyczny obraz, jak wygląda ten stosunek duchowy dołu i góry w budowie społeczeństwa narodowego, temu przytoczę ilustrację Mickiewicza z r. 1830, wtrąconą do rozmowy na temat dwu typów rozumu narodowego. Odyniec tak ten obraz zanotował: [1])

„Gospodarski czy chłopski, jak go u nas zowią, to jest przyrodzony ludziom rozum prostaczków. Adam uważa za fundament gmachu ludzkości, chociaż on sam (gmach), jako suteren, jest ciasny, zasklepiony i ciemny. Najwyższe piętro z kopułą i dużymi oknami otrzymuje światło z góry i przy nim rozgląda się wokoło po świecie. Tam mieszka prawdziwy pan gmachu — rozum mądry, oświecony światłem wiary, który jego losami, jak sternik okrętem, kieruje. Ale w antresolu (na półpiętrze) tego

[1]) Adam Mickiewicz: Dzieła. Warszawa 1933, t. XVI. Rozmowy, str. 79.

Wytyczne

SPRAWA DZIECKA

Tygodnik literacki „Odrodzenie" w ostatnim swym numerze podjął nader słuszną inicjatywę. — Opodatkował mianowicie każdy swój numer kwotą 1 zł, na cele opieki nad dziećmi

Sprawa jest słuszna, tak bardzo słuszna, że nie wahamy się inicjatywę „Odrodzenia" podjąć. Trosce o dziecko w Polsce poświęcaliśmy dotychczas dość dużo miejsca. Wydaje się nam jednak, że o tym nie wystarczy pisać i mówić. Rzeczywistość nie rozwiązuje się wyłącznie środkami duchowymi — ale jak o tym świadczy przykład wielu świętych — trzeba także środków materialnych. Katolicyzm nie głosi pogardy dla materii, a jedynie prymat spraw ducha.

I dlatego, poczynając od p r z y s z ł e g o numeru, powiększamy cenę naszego pisma o 1 zł., którą to kwotę przekazywać będziemy na fundusz dziecka w „CARITASIE"

Dm 191 052

Andrzej Chciuk

Modlitwa do Ducha Świętego

Przyjdź Duchu Święty i serca napełnij
nasze niegodne i rozum nasz oświeć,
byśmy umieli najlepiej, najpełniej
ukochać Polskę i żyć w tej miłości

Zwól nam odróżniać co dobre od złego
daj nam zrozumieć cośmy winni sami
i daj nam siłę nie popełniać tego
co zapłaciliśmy już krwią i łzami

Daj nam naukę doświadczenia przyjąć
w pokorze Twojej i z pożytkiem Sprawie
której nie zduszą, nie zwalczą, nie zbiją
nawet najgorsze bomby, jak w Warszawie

Przyjdź Duchu Święty i serca napełnij
nasze niegodne i rozum nasz oświeć
byśmy umieli najlepiej, najpełniej
ukochać Polskę i żyć w tej miłości

Byśmy umieli w miłości prawdziwej
Dom nasz budować i zawsze obronić
dom wolnych ludzi i siłą szczęśliwych
co już nie muszą nigdy prosić o nic

Natchnij mądrością mózgi tych, co rządzą
i wszystkie serca zaszczep już miłością
a sprawiedliwość postaw w poprzek żądzom
i grzechom dawnym i dawnym słabościom

Daj nam zalety pracy, wytrwałości
podtrzymaj wolą nasz słomiany ogień
gdy ku dobremu, gdy ku ciągłej wiośnie
wieść będą nasze dziwne polskie drogi.

---

gmachu rozgościł się rozum szkolny, który przy pozio-mym świetle z okienek pozapalał tam sobie światła sztuczne i pozakładał przy nich warsztaty, fabryki, sklepy i audytoria lekcyjne. Ciągły ruch i turkot machin, wrzask przekupniów dysputy profesorów zagłuszają im samym i nie dopuszczają do niższego piętra głosów wołających z wyższego. Gwar ten wtedy tylko ucicha, gdy pioruny z nieba bić zaczną, albo ziemia gmachem zatrzęsie. Przekupnie wtedy chronią swoje mienie, krzykaczom głos zamiera ze strachu i wtedy to mieszkańcy suterenu słyszą co do nich mówią..."

Do autorytetu Mickiewicza trzeba się uciekać, on bowiem intuicją myśliciela-poety wykrył tajemnicę jaźni narodowej, dając przez to początek nowej erze polskiej świadomości narodowej. Od niego zaczął się ferment myśli, przenikający wskroś całą cielesną istność narodu naszego a zmierzający do postawienia Polski na stopie nowoczesnej p a ń s t w a n a r o d o w e g o.

Widzimy na powyższej ilustracji, jak wielką wagę przywiązała myśl twórcza poety do tego, w jaki sposób uzgodnić tętno życia duchowego sfer uświadomionych inteligencji narodowej z pulsacją biologiczną narodu. Główną przeszkodę widział on w owej „antresoli", nie umiejącej ze swego oświecenia robić użytku ideowego. Przerywają kontakt dwu biegunów (czucia naturalnego i świadomości ideowej) te sfery pośrednie, odprowadzające całą energię życia duchowego na cele

A przecież nie tylko trzeba, ale w Polsce można przezwyciężyć tę przeszkodę: nigdzie bowiem instynkty narodowe nie są tak podatne na głos idei narodowej. Chodzi o to, żeby nie oddawać „antresoli" rządów nad duszami, żeby w końcu stworzyć państwo rządzone przez ludzi idei w porozumieniu z tymi sferami, które mają w porządku instynkty narodowe. Nie sprzeciwi to się nawet niczyim interesom osobistym i zawodowym, owszem wyjdzie im to nawet na dobre.

Chciałbym pokazać to zagadnienie psychologiczne na ogólnie znanym przykładzie. Co było nieszczęściem naszym w tych ostatnich latach próbnych niepodległości Polski? To — powiem krótko — że przyszli do kierowania państwem ludzie niedokończeni w kulturze duchowej, ludzie nie umiejący o dobru publicznym myśleć rzeczowo, niezdolni do poddania swej osobowości interesowi objektywnemu narodu. Stąd doszło do zgoła naiwnej dyktatury polegającej na odwróceniu procesu cywilizacyjnego.

Otóż, ta bajeczna karykatura stosunków stąd się wzięła, że szkoła mechaników socjalnych, tę jednostkę wysuwająca, eksploatowała dla swoich celów tylko dekoracyjność historyczną, nie pogłębiając swego życia etycznego. Cofnięto życie do stanu pierwotnego. W czasach chrześcijańskich górne piętra społeczeństwa nadbudowane być muszą z E t h o s u, a to, co się działo, dokonywane było tylko siłą. Twórczość narodowa jest dziełem moralnym. To jest etyczne, co się robić powinno, nie to, co się zdarzy. A co się robić powinno, samo geniuszowi narodowemu się nasuwa, gdy w jednostce twórczej dokona się szczęśliwie połączenie władz duchowych, wytwarzające, dzięki energii psychicznej i rozumowi, rozumną, na objektywnym pojmowaniu życia opartą — w o l ę e t y c z n ą.

**
*

Nasuwa się potrzeba ustalenia definicji nacjonalizmu w ogóle, a polskiego w szczególności.

Roman Dmowski miał pewne zastrzeżenia co do samego terminu „nacjonalizmu", obawiał się bowiem, że „izm" tego terminu może w wielu umysłach wywołać wrażenie, że nacjonalizm jest doktryną, gdy jest on stosunkiem faktycznym w psychice narodowej. Pogląd swój na istotę nacjonalizmu Dmowski wyraził w zdaniu:

„Naród jest jedyną w świecie naszej cywilizacji postacią bytu społecznego; obowiązki wobec narodu są obowiązkami, z których nikomu z jego członków nie wolno się wyłamywać; wszyscy jego synowie winni dla niego pracować i o jego byt walczyć, czynić wysiłki, żeby podnieść jego wartość jak najwyżej, wydobyć z niego jak największą energię w pracy twórczej i w obronie narodowego bytu".

Definicja tego typu normatywnego ze stanowiska etyki narodowej jest najwłaściwszą, bo ujmującą rzecz w stadium najwyższych stosunków, jakie zachodzić mogą między jednostką a narodem, w stadium kiedy nasz stosunek do narodu staje się już n i e o d w o ł a l n y m f a k t e m, kiedy nie może być już innym, kiedy między jednostką i narodem nastąpiło już pewnego rodzaju psychiczne zrównanie oparte na koncentryczności ich bytu.

Otóż, moim zdaniem, wystarczająca na razie w tym miejscu i w ogóle wystarczająca na użytek popularny będzie definicja taka:

Nacjonalizmem nazywam taki wytwór danej cywilizacji w zakresie psychiki narodowej, który uczynił z przyrodzonego patriotyzmu typu uczuciowego — fakt etycznego stosunku do narodu.

W określeniu tym mieści się:

1. Pogląd, że nacjonalizm jest rezultatem właściwej narodowi cywilizacji. Wynika to z założenia mojego, że najogólniejszym ujęciem narodu jest jego cywilizacja. Stąd wynika, że nie można mówić o jakiejś jednej postaci nacjonalizmu: jest ich tyle ile uświadomionych narodów. Polski nacjonalizm należy do rodzaju nacjonalizmów chrześcijańskich, ściślej — do typu wytworzonego przez cywilizację rzymsko-katolicką, indywidualnie zaś jest polskim ze swego charakteru historycznego.

2. Ze stanowiska psychologicznego ważne jest to, że nacjonalizm jest wynikiem szczęśliwego zestroju władz duchowych jednostki z potrzebami i nakazami dziejowymi środowiska, zestroju, który pozwolił na pełne ukształtowanie się jednostki i zespolił jej p r a w o do życia z o b o w i ą z k i e m odpowiedzialności za całość. Podniosło to stopę życia etycznego z poziomu strzeżonego przez prawo na poziom twórczego posłannictwa.

3. W tym procesie rozwojowym, któremu uległa energia życiowa zagrzewana miłością ojcowizny, widzę wielką rolę rozumu, który przekształcił uczucie w patriotyzm czynny, oparty na poczuciu obowiązku, myśli politycznej nadał kierunek realistyczny,

4. Narodowa idea społeczna, obejmująca wszystkie zagadnienia życia narodowego, dąży do zrównania wszystkich obywateli w obowiązkach wobec narodu, a to jest możliwe tylko pod warunkiem zniesienia przywilejów i odrębności klasowych i hasłowych. Ustrój psychiczny społeczeństwa według zasady narodowej oznacza jego dojrzałość, ta zaś dojrzałość jest niczym innym jeno przejściem społeczności ze stanu ruchu mechanicznego na stopę **życia organicznego**, gdzie wszystkie cząstki ciała i jego funkcje są potrzebne sobie i współdziałają.

Pod tym względem na uwagę zasługuje pogląd historyczny Augusta Cieszkowskiego[1]), który dzieje ludzkości dzieli na trzy epoki: fizyczną, chemiczna i organiczną. Ta ostatnia epoka poczęła się w czasach nowożytnych. Poprzedziły ją epoki starożytna i wieków średnich (ciągnących się do stulecia XIX). W pierwszej epoce procesy dziejowe odbywały się pod naciskiem zewnętrznym w stosunku do ludów (fizycznym). Od narodzenia Chrystusa procesy te przenoszą się na wewnątrz i polegają na fermentacji powolnej, odpowiadającej zjawiskom chemicznym, w tej zaś naszej trzeciej epoce życie duchowe ludów staje się organicznym.

[1]) Ob. „Ojcze nasz", t. I. O drogach ducha. Appendix. Poznań 1922.

Pogląd ten na czasy nowożytne odpowiada naszym dzisiejszym, upatrującym naczelną zasadę rozwoju w układzie społecznym narodowym traktującym naród jako najwyższą postać organizmu.

**
*

Co nowego wnosi do dziejów nacjonalistyczny pogląd na świat, tworzony przez człowieka?

Wnosi on po pierwsze przeświadczenie o tym, co dotąd było tylko przeczuciem i nie zawsze rozumianym faktem, że ludzkość żyje narodami i że to leżało w planie tworzenia wszechrzeczy przez Boga.

Po wtóre: naród jest tworem psychicznym i dorabiać się musi swojej osobowości duchowej — jako „uznanie siebie w swoim jestestwie" — mocą psychiki jednostek.

Po trzecie: poczynający się w naszych oczach nowy okres dziejów wśród narodów cywilizowanych, oznacza, że narody wydobywają swoją osobowość ze stanu podświadomej żywiołowości na poziom pełnego świadomości życia indywidualnego.

Ze stanowiska, które wyżej zaznaczyłem upatrując, że główną przyczynę nieładu w twórczości narodowej stanowi brak ścisłego związku między życiem uczuciowo-patriotycznym i rozumowo-patriotycznym, łatwo dostrzec, dlaczego ruch nacjonalistyczny, zapobiegający temu nieładowi, tak namiętnie jest przez „antresolę" zwalczany.

I to jest najbardziej znamienną cechą czasów nowych, że zasada ta suwerenności psychicznej narodu nad wszystkim, co jest dziełem rąk, co jest sposobem życia cywilizowanego, że ta zasada wypływa ze zrozumienia ograniczoności narodu. Wypływa ona z nauki doświadczeń dziejowych i z wiedzy psychologicznej o jednostce ludzkiej, że wszystko, co mędrkowane i co oparte tylko na sztuce mechaniczności zawodzi, a wieczne jest tylko życie.

W świetle tej prawdy jasne się stało, że samoistny byt tej wielkiej osobowości jaką jest naród zapewnić można przez ścisłe zespolenie **jej samowiedzy z podstawami biologicznymi jej ciała**, i że wartość budowy tej osobowości zależy od dobrego obiegu energii życiowej w całym jej organiźmie.

W Polsce myśl narodowa poczęła pracować wcześniej niż w krajach, gdzie państwowe dzieje nie były przerywane, gdzie myśl o całości była przywilejem państwa, jako wychowawcy i sternika, gdzie — słowem — pojęcie narodu i państwa było czymś jednoznacznym.

Po utracie niepodległości w umysłach polskich coraz oczywistszą stawała się prawda, że o przyszłości Polski stanowić będzie naród, o ile uczyni z siebie samoistną, kompletną jednostkę, zdolną tworzyć swoją odrębną cywilizację, **że Polska nie zginęła, póki żyje naród.** Pod grozą rozbiorów rozpoczęła się już wielka reforma umysłów i urządzeń społecznych, polegająca na przeładowywaniu na barki narodu wszystkiego, co go dotąd oficjalnie reprezentowało i brało za nie go odpowiedzialność, wszystkiego, co było przywilejem dworu i szlachty. Szybko poczęło wzrastać znaczenie nowej warstwy, t. zw. inteligencji, biorącej na siebie rolę przewodnią, jako sternika świadomości narodowej, a jednocześnie z tym nabierała znaczenia praca nad budzeniem do świadomości klas, do odpowiedzialności dziejowej przed tym nie powołanych. Ludzie oświeceni szukali kontaktu z ludem. Myśl oświecona szukała oparcia w sile biologicznej mas, aby wytworzyć społem ową całość psychiczną w osobowości narodowej.

Ale nie było to sprawą łatwą. Można ustalić prawo, że życie zarówno jednostki, jak zbiorowości, niedostatecznie w sobie zorganizowane, doprasza się samo, aby je rozgrabiły siły obce. Państwowość rozbiorą sąsiednie mocarstwa, duszę narodowi rozbiorą wrogowie przy pomocy doktryn i sprzysiężeń.

**
*

Bardzo ważnym momentem w procesie unarodowiania się społeczeństwa jest warunek powszechności. Na tym właściwie polega praca wewnętrzna społeczeństwa (wychowawcza, oświatowa, twórcza w nauce, w literaturze i sztuce, wreszcie społeczno-polityczna w ścieraniu się opinii różnych i w walkach klasowych), aby w rezultacie doszło do jakiejś harmonii w stosunkach społecznych, umożliwiającej normalne życie organizmu. To zaś normalność, świadcząca o dojrzałości cywilizacyjnej społeczeństwa, siłą faktu wyraża się w suwerenności idei narodowej w znaczeniu politycznym (państwo narodowe).

A więc powszechność „pospolite ruszenie"? Czy jednak można dojść do takiej „totalności" (jak to dzisiaj nazwano) w drodze rewolucji i opanowania mas przez dyktaturę? Polska myśl narodowa **nie chce oszukiwać siebie i świata pozorami „totalności", sprawionej siłą mechaniczną;** wedle niej państwo narodowe ma być owocem dojrzałości organicznej społeczeństwa. I zdaje sobie sprawę, jak długi, mozolny i dramatyczny jest proces tego dojrzewania do „totalności" w drodze dobrowolności.

Pomyślmy tylko, jak długo i z jakimi przeszkodami trwało dojrzewanie myśli obywatelskiej w szczupłym, choć nader ważkim dla cywilizacji polskiej zakresie stanu szlacheckiego. Z jakimże trudem dobywały się tam przebłyski pomyślenia o tym, że poza granicami tego stanu istnieje jeszcze reszta narodu, oczekująca na swoją kolej dziejową.

My żyjący mamy w oczach i w żywej tradycji akt następny rozwoju idei narodowej, gdy przyszło do wyzwalania mieszczaństwa. Przypomnijmy sobie dramat Sejmu czteroletniego, a na jego tle dramat takiego Dekerta, z którym nawet w obliczu katastrofy dziejowej narodu nie chciano gadać o prawach obywatelskich stanu miejskiego. Ale jak daleko było jeszcze od chwili prawnego zwycięstwa do organiczności psychicznej nowego ładu mamy dowód (że przytoczę to dla ilustracji) w powieści B. Prusa, który nam pokazał tragedię Wokulskiego bardzo podobną do Dekertowskiej i jakby powtórzoną w sto lat potem w życiu obyczajowym.

W XIX stuleciu odbywał się w naszym społeczeństwie coraz szybciej proces fermentacji społecznej: po mieszczańskiej nastąpiła szybko sprawa chłopska, a wreszcie sprawa proletariatu. Załatwienie jej zakańcza proces organicznego integrowania organizmu narodowego.

Dlatego, powtarzam, konieczne jest pogłębienie wiedzy o narodzie, jako istności organicznej. Zwłaszcza sfery oświecone, owa nowa klasa zwana inteligencją narodu, powołana do ogrywania w procesach rozwojowych takiej roli, jak w chemii ciało dodane do dwu innych (dla siebie neutralnych lub wrogich) i wytwarzające z nich byt nowy, zwłaszcza inteligencja musi spełnić swoje zadanie i doprowadzić **życie wewnętrzne narodu do harmonii organicznej**

Antoni Cwojdziński

TEATR W AMERYCE

Często w listach z Polski pytają mnie o Amerykę. Zwykle nie łatwo jest odpowiadać na takie pytania. Czy jest w niej dobrobyt? Jest. Stopa życiowa nieprawdopodobnie wysoka. Ale jest przedwojenna Europa. Czy jest równość? Jest — przy kawie siedzi nędzarz obok bogacza — i nie ma — nie ma przy nich Murzyna, bo go nie wpuszczą. Jest to kraj największych sprzeczności i każdy sąd sumaryczny zawodzi w nim.

Gdy jednak pytają mnie aktorzy o amerykański teatr, wszelkie trudności znikają. Nie ma w nim żadnych sprzeczności, bo w ogóle nie ma go. Choć niełądnie jest źle mówić o innych, a zwłaszcza o ich kulturze, trzeba jednak stwierdzić, że nie ma tu ani kultury teatralnej, ani tego, co w Europie nazywa się teatrem.

W stuczterdziestomilionowym kraju jest tylko jedno miasto, Nowy Jork, a w nim jedna tylko ulica, Broadway, ale na niej też nie ma teatrów. Są tylko małe, brzydkie i pretensjonalne, udające starość sale ze scenami. Wynajmują je przedsiębiorcy, gdy ich kto namówi na wystawienie jakiej sztuki, tej jednak zwykle sami nie czytają. Potem szukają wspólników z kapitałem, wynajmują aktorów i reżysera, i po trzech tygodniach prób — na więcej nie pozwala związek aktorów — dają premierę. Jeżeli „leży", po tygodniu zdejmują ją z afisza i wracają na wyścigi lub do kart, żeby odrobić straconych kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Jeżeli, co rzadko, ale też się trafia, sztuka „chwyciła", grają ją przez pół roku lub rok, czasem przez pięć i dziesięć lat.

Ale i w tych wypadkach nie ma mowy o stałym teatrze ze stałym zespołem o rocznych kontraktach, ani o jakiejś grze zespołowej, czy kierunku reżyserii, czy inscenizacji. Takie pojęcia są tu w ogóle nieznane. Stosunkowo dobre przedstawienie powstaje wtedy, gdy aktorzy przypadkowo „zgrają się". Częściej jednak widzi się na scenie jedną gwiazdę lub gwiazdora z Hollywood i dokoła niego ludzi, którzy należą do związku aktorów, ale na życie zarabiają poza teatrem. Taki teatr Europa zna już tylko z historii zeszłego wieku, z tak zwanej epoki gwiazd. A w Ameryce jest on uważany za dobry, jeżeli kasę zrobi, a świetny — gdy robi ją przez parę lat. Teatr więc czasem robi ładne dolary, ale nigdy nie zrobi ładnie sztuki. Nie widziałem w nim jeszcze nigdy tego, co nazywa się nastrojem przedstawienia czy sceny. Nawet grana przez Murzynów komedia muzyczna Gershwina „Porgy and Bess" nie miała śladu atmosfery. Była ona na Broadway'u przebojem kasowym, ale artystycznym stanie się dopiero w Warszawie, gdy kiedyś wystawi ją Schiller.

Kogo winić za ten straszny stan rzeczy, czy teatr, czy publiczność? Nie warto bawić się w analizy, gdy ani teatr, ani publiczność nie robi absolutnie nic, aby go zmienić. Aktora interesują tylko zarobki, a nie teatr i sztuka, publiczność nie umie odróżnić dobre go przedstawienia od złego, dobrego aktora od amatora. Na Broadway'u widzi się obok stosunkowo dobrej rzeczy beznadziejną sła biznę, a publiczność tu i tam reaguje tak samo. I w Warszawie trafiła się czasem rzecz nieprzygotowana, ale cała publiczność od pierwszego rzędu do ostatniego czuła to. A tutaj aktor, który w długim, bez ruchu mówionym monologu dochodzi do twarzy zalanej łzami, co nawet w Europie uważane byłoby za dobrą robotę sceniczną, dostaje takie same brawa jak dziewczyna o pięknych nogach, choć nie umie jeszcze chodzić nimi po scenie.

Nie można więc dziwić się, że taki teatr nie odgrywa żadnej roli w społeczeństwie. Gdy na Columbia University mówiłem o poważnej funkcji społecznej, jaką pełnił teatr w Polsce, ludzie słuchali z ogromnym zainteresowaniem, ale — nie wierzyli.

Trudno też dziwić się, że nie ma tu teatru polskiego, choć jest sześć milionów Amerykanów polskiego pochodzenia. Są czasem amatorskie imprezy miejscowej Polonii, ale nie mogą one marzyć nawet o poziomie Broadway'u... A aktorzy, przybyli z Polski, po początkowych szlachetnych, ale bezowocnych wysiłkach, spadają często poniżej poziomu przedstawień Polonii miejscowej...

Megalomania jest rzeczą bardzo niebezpieczną, ale tu nawet przy kompleksie niższości trzeba stwierdzić z całym przekonaniem i z prawdziwą dumą, że teatr w biednej Polsce stał bez porównania wyżej niż w bogatej Ameryce.

Stanisław K. Rostworowski

WSKAZÓWKI SPRZED LAT

Cechą wybitnych umysłów jest dar widzenia prawdy i umiejętność ogarniania bystrym spojrzeniem szerokich horyzontów.

Najlepszym sprawdzianem kalibru, tego rodzaju ludzi, jest potwierdzenie, lub zaprzeczenie ich przewidywań, przez nadchodzący bieg wypadków. Dlatego recenzje z perspektywy lat są kształcące i niepozbawione ciekawości, bo rzucić mogą wiele nowego światła.

W notatce naszej pragniemy zwrócić uwagę na Prusa, jako historyka, socjologa i diagnostę, na podstawie znanej jego powieści — „Lalki" 1887 — 9).

Rozważania te nie pozbawione są i dzisiaj aktualności.

Prus był trzeźwym realistą, człowiekiem rozumiejącym dynamikę procesów historycznych, był także bystrym satyrykiem i ironistą, a także niepozbawionym wnikliwości psychologiem. Pozytywizm Prusa odebrał mu zrozumienie dla spraw pozadoczesnych, jednak spacerując po ziemi, ogarnął spojrzeniem conajmniej parę dziesiątków lat. Poznał mechanikę tego świata i zrozumiał doskonale współczesnego mu człowieka, rzadko kiedy sięgając jednak w „przepastne" jego głębiny. Jest wiernym przedstawicielem swojej epoki i dzieła jego mają nieprzemijającą wartość historycznego dokumentu.

Prusa dręczą, biegnące wciąż, wynalazki techniczne, rozumie ich doniosłość, ale nie ma on dokładnego rozeznania, dokąd zaprowadzą one ludzkość.

Aleksander Głowacki widzi nadciągający nieuchronnie przewrót cywilizacyjny, spostrzega nurt, ale zamglone pozostają mu jego kontury, dlatego niezachwiana wiara jego w przyszłość świata, podlega chwilami wahaniom.

„Co stanie się z dzisiejszym światem" — zapytuje Prus — „na widok pierwszej maszyny latającej, bez skrzydeł, bez skomplikowanych mechanizmów, a trwałej jak okręt pancerny?" — „Bo jużcić jest faktem, że każdy nowy, a ważny materiał, i każda nowa siła, to nowe piętro cywilizacji. Brąz stworzył cywilizację klasyczną, żelazo wieki średnie, proch skończył wieki średnie, a węgiel kamienny rozpoczął wiek XIX. Co się tu wahać: metale Geista dadzą początek takiej cywilizacji, o jakiej nie marzono i kto wie, czy wprost nie uszlachetni gatunku ludzkiego..." (tom II — IX — 268).

Prus jest gorącym zwolennikiem postępu technicznego, ma przekonanie, że zwrócą one człowiekowi raj utracony, i że świat jest w przededniu jakichś niegogarnionych przeobrażeń.

Jednak autora „Lalki" napadają, od czasu do czasu, zastrzeżenia i wątpliwości, wszak „ludzkość składa się z gadów i z tygrysów, między którymi, ledwie jeden na całą gromadę znajdzie się człowiek" (III — IX — 211), kto zaręczy przeto, czy człowiek potrafi ku dobremu obrócić zwiększone swoje nad przyrodą władztwo?

„Jeśli dobrzy mają górę" — stwierdza Prus — „wówczas świat toczy się ku dobremu, a jeżeli gałgani są mocniejsi, to idzie ku złemu..." (III — X — 291). Mocno nogami w ziemię wparty, a jednocześnie w dal zapatrzony, spostrzega Prus nadchodzący konflikt, który jest treścią naszych czasów. I pragnie autor „Faraona" uziemić nadchodzące pioruny, mogące zdruzgotać cywilizację, przez udzielenie potomnym trafnych i przezornych wskazówek.

„Na co zdałby się najlepszy wynalazek", — zapytuje Aleksander Głowacki — „gdyby nie miał być orężem, który zapewni ostateczne zwycięstwo rasie ludzi szlachetniejszych i lepszych" (II — X — 274).

Rada Prusa, jak wszystko co wielkie, jest niezmiernie prosta, wzywa on uczonych do przekazywania swych odkryć ludziom dobrym, ażeby tą drogą utysiąckrotnić ich znikome siły i zapewnić zwycięstwo nad „gałganami".

Autor „Lalki" nie precyzuje, kogo uważa za człowieka „dobrego", jednak wskazówką może być dialog następujący:

„Wytłumacz pan jasno" co to jest człowiek o szerokiej duszy?"

„Widzi pan (rzekł Ochocki) — ludzie małej duszy dbają tylko o swoje interesy, nie sięgają myślą poza dzień dzisiejszy, i mają wstręt do rzeczy nieznanych. Byle im było spokojnie i suto... taki zaś facet jak on (Wokulski) troszczy się interesami tysięcy, patrzy nieraz o kilkadziesiąt lat naprzód, a każda rzecz nieznana i nie rozstrzygnięta pociąga go w sposób nieprzeparty. To nawet nie jest żadna zasługa, tylko mus. Jak żelazo bez namysłu rusza się za magnesem, albo pszczoła lepi swe komórki, tak ten gatunek ludzi rzuca się do wielkich idei i wielkich prac"... „Cywilizacji nie stworzyli, ani filistrowie, ani geszefciarze, lecz właśnie tacy wariaci. Gdyby rozum polegał na myśleniu o dochodach, ludzie do dzisiejszego dnia byliby małpami. (III — XI — 304).

Te definicje prusowe nie w zupełności zadowalają nas dzisiaj; rządy nad światem pragnęlibyśmy oddać w ręce ludzi energicznych i zdrowych, a pełnych miłości, mądrości, roztropności i umiejętności. Ale, stało się... uciekła teoretyczna możliwość oddania cugli „dobrym" ludziom — a kula ziemska zatrzęsła się w posadach i spłynęła krwią obu wojen światowych, a chmury nie przestają się kłębić.

Zapoznane zostały rady Prusa, w których wykonalność i on prawdopodobnie, sam, nie wierzył.

Jednak Prusowi majaczy się wciąż wizja przewrotu technicznego, mającego zrodzić lepszy świat. Uczony fizyko-chemik, wydaje mu się „jak Mojżesz, który do obiecanej ziemi prowadzi jeszcze nieurodzone pokolenia". (II — IX — 262).

Prus przewiduje, że lotnictwo skruszy zapory między narodami (w tym czasie istniały ledwie balony wypełnione gazem!) i zbliży je, a kurcząc glob ziemski, przygotuje grunt pod jedność polityczną świata: — „mówiłem" — powiada „o zniknięciu granic, o braterstwie ludów i o olbrzymich postępach cywilizacji" (II — XIII — 375).

Stosunek Prusa do współczesnych mu warstw kierowniczych narodu jest negatywny. Arystokrację ziemską, uważa za przeżytek, bo jest słaba, niezdolna do prowadzenia, a przywilejom, których zażywa, nie zawsze odpowiadają usługi, jakie świadczyć powinna społeczeństwu.

• Ówczesny partykularz polski charakteryzuje autor „Lalki" jak następuje: „szczególny kraj, w którym od tak dawna mieszkają obok siebie dwa całkiem różne narody: arystokracja i pospólstwo. Jeden mówi, że jest szlachetną rośliną, która ma prawo ssać glinę i mierzwę, a ten drugi albo przytakuje dzikim pretensjom, albo nie ma siły zaprotestować przeciw krzywdzie... Tak silnie wierzono w powagę rodu, że nawet synowie rzemieślników i handlarzy, albo kupowali herby, albo podszywali się pod jakieś zubożałe rody szlachetne. Nikt nie miał odwagi nazwać się dzieckiem swoich zasług. (II — IX — 267).

Klimat ówczesnego „priwislinja" był pod każdym względem niezdrowy; kto wybitniejszy — uciekał: „zmykam zagranicę i... biorę się tam do roboty. Tutaj można się tylko rozpróżniaczyć, zgłupieć i skwaśnieć". Tutaj „badacz uchodzi za gbura, albo wariata. Ludzie uczą się nie dla wiedzy, ale dla posady, a posadę i rozgłos zdobywają przez stosunki, przez baby, przez rauty". — „Jeżeli pan będziesz umiał tańczyć, grać na jakimś instrumencie, występować w teatrze, a nade wszystko bawić damy, aaa!... to zrobisz pan karierę!" (II—IX—250).

Prus był świadkiem rozkładania się elity polskiej, nie oszczędził jej swojej ironii ni satyry, na Żydów patrzał krytycznie, choć cenił ich zalety. Bystrym okiem dojrzał kryzys warstwy kierowniczej narodu i trafnie ocenił jego doniosłość, ufał on, że kapitalizm wyłoni nową, udaną elitę polską, ze sfer przemysłu i handlu. „Siła i praca są jedynymi przywilejami" — pouczał — „siła i praca, a nie tytuł i nie urodzenie" (II — XII — 346).

Wiara Prusa, że kapitalizm wyłoni tęgą warstwę kierowniczą narodu, nie miała się urzeczywistnić, system ten zginął w Polsce nim dojrzał.

Nową elitę polską, której powstanie apostołował w „Lalce" i którą ucieleśnił w Wokulskim, zbankrutowała niemal w zalążku.

Od przewrotu majowego (1926) zaczęła ustalać się w kraju gospodarka planowa, a władza, w miejsce kapitalistycznego przedsiębiorcy, czy ziemianina, dostała się w ręce, rozrastającej się jak gdyby po deszczu, wielkiej, nie jakością ale ilością, biurokracji.

Dręczący Prusa, przed laty 60, problem zaniku warstwy kierowniczej, nie został po dziś dzień rozwiązany. Elita zdrowa i twórcza może powstać tylko drogą naturalnej selekcji in plus. Trudno przewidzieć, czy zaistnieją warunki jej wyrastania. Wydaje się trafne przewidywanie autora „Lalki", że w skład jej wejdą uczeni i specjaliści, a rola ich będzie doniosłą.

Z wielu wypowiedzi można wnioskować, że Bolesław Prus widział nadchodzący proces skupiania się władzy w ręku nielicznej grupy, uposażonej w niezmierną potęgę, jaką dają wynalazki. Myśli tego rodzaju napastowały prawdopodobnie Aleksandra Głowackiego, w chwilach wątpliwości w skuteczność drogi Wokulskich, bo rozumiał on, jak mało kto w jego pokoleniu że wynalazki techniczne, sypiące się jak z rogu obfitości, niosą nieubłagany i nieogarniony przewrót.

„Już za wiele nieszczęść mnożyły się na ziemi przez nieopatrzne wynalazki" — pisał (II — IX — 245).

W takich chwilach powtarzał swoje „ceterum censeo" — niech dostaną się one w ręce ludzi „dobrych".

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!
KS. EUGENIUSZ DĄBROWSKI
DZIEJE PAWŁA z TARSU
Obszerna (652 str.) monografia o świętym Pawle, Apostole narodów, z uwzględnieniem badań archeologicznych i religioznawczych.
Warszawa — 1947
Oficyna Księgarska:
Marszałkowska 34

W świecie...

PRZEMÓWIENIA OJCA ŚWIĘTEGO

W trzech kolejnych przemówieniach, a mianowicie do członków amerykańskiej komisji emigracyjnej, nowego posła Boliwii i grupy amerykańskich senatorów, Papież Pius XII wystąpił z naciskiem w obronie pokoju światowego. Przemawiając do senatora Bridgesa i innych członków amerykańskiego senatu, Papież określił pokój światowy jako coś więcej aniżeli „brak zbrojnych działań i rozlewu krwi". Pokój prawdziwy powinien być celem każdego człowieka dobrej woli, „który nie jest zaślepiony pychą i egoizmem".

Przemawiając do senatorow-członków komisji emigracyjnej, Papież prosił o zniesienie ograniczeń imigracyjnych, aby w ten sposób złagodzić część cierpień dzisiejszej ludzkości. Papież powołał się na historię Stanów Zjednoczonych, jako na dowód, że ludzie różnych narodowości i ras mogą jak dobrzy sąsiedzi współżyć i współpracować w uporządkowanym, pokojowym i zamożnym społeczeństwie.

W przemówieniu do posła Boliwii Papież powiedział, że w swych wysiłkach o „pokój i sprawiedliwość" liczy na poparcie wiernych Boliwii.

Podczas przyjęcia 4 senatorów amerykańskich Pius XII oświadczył, że w przeddzień rocznicy zawieszenia broni po pierwszej wojnie światowej nasuwają się smutne myśli na temat ceny i owoców zwycięstwa. W przemówieniu wygłoszonym w języku angielskim Papież powiedział, że w wojnie jest tylko jedno zwycięstwo, które przynosi pewne i wysokie dywidendy. Jest to zwycięstwo nad nienawiścią i nieufnością, które dzielą narody, pragnące pokoju. Papież wyraził pogląd, że czołowe osobistości wszystkich państw mogłyby ludzkości przynieść ulgę, gdyby w obliczu ciążącej na nich odpowiedzialności, zdecydowały się cały swój rozum i energię poświęcić dla osiągnięcia tego zwycięstwa. Nie jest to cel nieosiągalny.

TYDZIEŃ SPRAW OTWARTYCH

Obrady w Londynie przebiegają spokojnie, bez specjalnie dramatycznych konfliktów, ale też bez osiągnięcia, jak dotąd, żadnych pozytywnych rezultatów. Zrealizowano właściwie porozumienie tylko w sposobie głosowania przy ustaleniu ostatecznego tekstu traktatu dla Niemiec. Nie uzgodniono jednak kto ma głosować i kto ma być uczestnikiem czterech przygotowywujących traktat stałych komitetów: dla spraw politycznych, gospodarczych, terytorjalnych i rozbrojenia Niemiec. Dwie zasadnicze sprawy zostały otwarte i odłożone do debat późniejszych: sprawa jednego rządu w Niemczech i skład państw, biorących udział w konferencji nad traktatem. Min. Mołotow żąda wyraźnego sprecyzowania, iż może zostać powołany tylko jeden rząd niemiecki dla całej Rzeszy, a min. Marshall nie chce dopuścić do tego rodzaju jasnej uchwały, pragnie widocznie mieć wolne ręce. Min. Mołotow żąda uczestnictwa w konferencji tylko państw, które od początku prowadziły efektywnie wojnę z Niemcami, sąsiadują z nimi i są zainteresowane w układzie bezpośrednio stosunków w Europie. Marshall natomiast radby widzieć uczestnictwo wszystkich 50 państw, które — choćby na parę tygodni przed majem 1945 roku — wojnę Niemcom wypowiedziały. W czasie konferencji rysują się dwa wyraźnie sprzeczne stanowiska: ZSRR i USA. Obaj inni partnerzy zajmują stanowiska albo nacechowane rezerwą; albo lawirują, skłonni są raz iść z jedną, raz z drugą stroną, przychylając się nawet częściej (choć Bevin zwykł się potem wycofywać!) na stronę Mołotowa.

WE FRANCJI — NIC NOWEGO

Parlament francuski podzielił się wyraźnie na dwa obozy. 183 posłów komunistycznych przeciw rządowi i czterystu paru za rządem. Ta większość po parodniowych burzliwych naradach uchwaliła wyjątkowe ustawy antystrejkowe, dozwalające rządowi używać wojsk przeciw strejkującym. Ustawa ta dopiero uchwalona nie wpłynęła na uspokojenie kraju. Przeciwnie, sytuacja zaostrzyła się niezwykle. Z obu stron wystąpiły do walki bezwzględnej siły poważne. Partia komunistyczna zarzuca rządowi, iż katastrofa, w której zginęło szereg ofiar, była prowokacją. Rząd zarządził konfiskatę gazet komunistycznych. Strajki nie zmniejszają się, choć ich gwałtowność przerzuciła się w tej chwili z Paryża na prowincję. Sytuacja we Francji jest dramatyczna i ciągle nie wyjaśniona. Jedno wydaje się pewne — choroba tocząca Francję od dwóch lat doszła do stadium optymalnego i najcięższego. Teraz nastąpi jakieś generalne przesilenie.

CZY ABY NIE ZA WCZEŚNIE?

Niepokojące w najwyższym stopniu są rezolucje, jakie zapadają na różnych międzynarodowych konwentyklach, które chcą wyprzedzać tak Wielką Czwórkę, jak ONZ w podejmowaniu decyzji zasadniczych. Zanim te dwa ciała nie zadecydują o udziale Niemiec w publicznym życiu międzynarodowym, takie UNESCO czy taka konferencja socjalistyczna w Antwerpii nie powinny tego robić. Tymczasem socjaliści uchwalili w Antwerpii dopuszczenie socjalistów niemieckich do swej politycznej społeczności, a UNESCO dyskutuje nad wprowadzeniem Niemiec do tej organizacji. W obu wypadkach zaprotestowały gorąco delegacje polskie. Nie zdołają one oczywiście przekonać obecnych o nietrafności ich postępowania z Niemcami — ale przynajmniej są i będą, by demonstrować błędność — mówiąc łagodnie — pewnej metody i przeciw niej protestować. Tak czy inaczej uchwały w sprawie Niemiec, czy konferencji socjalistycznej, czy UNESCO nie są budującym przykładem karności międzynarodowej, która wszystkich obowiązuje wobec ONZ.

Antoni Trepiński

O względności teorii planowania

Szerokiego rozgłosu nabrał fakt, że parę powieści J. I. Kraszewskiego ukazało się po wojnie już kilkakrotnie. Między innymi spod rozważnego pióra, na łamach czołowego pisma literackiego wyszedł następujący ostry sąd:

„Ponieważ każde wydawnictwo działa na własną rękę, dochodzi do takich absurdów, że niektóre np. powieści Kraszewskiego wychodzą w dwóch i nawet w trzech wydawnictwach równocześnie. Podobnych przykładów można by niestety wyliczyć więcej. Nie ma oczywiście kulturalnego nieszczęścia, gdy Kraszewski ukazuje się w paru wydawnictwach. Jest to tylko przykład bałaganu i złej gospodarki (Jerzy Andrzejewski, „Sprawa elementarna", „Odrodzenie", nr 41).

W tym wypadku wniosek idzie jednak za daleko, bo przykład nie jest wcale przy bliższym zaznajomieniu się ze „sprawami elementarnymi" przekonywujący. I nie w podobnych fałszywych przykładach leży ogólna lub szczególna przyczyna chaosu, który panuje bezwątpienia na powojennym rynku wydawniczym.

Otóż 3 różne wydania „Chaty za wsią" i „Dziecięcia starego miasta" tłumaczą się wyłącznie charakterem **lektur szkolnych.** Jednoczesne ukazanie się „Kunigasa" i „Krzyżaków" Kraszewskiego nie jest także świadectwem nonsensu, skoro wszystkie wymienione wydania, zalecone do bibliotek szkolnych, mają pełną szansę rychłego wyczerpania się na półkach księgarskich. Jakkolwiek jedna i ta sama powieść ukazała się dwukrotnie w jednym roku kalendarzowym, to jednak nie przypada na ten sam rok szkolny. I to jest fakt dość wymowny. W bardzo krótkim czasie — jak nigdy dotychczas— występuje na polskim rynku księgarskim potrzeba nowych wydań lektur szkolnych — i drukowanie ich po 10, a nawet 50 tysięcy egzemplarzy okazuje się po paru tygodniach lub miesiącach obliczeniem zbyt skąpym.

Nie tylko przykłady z Kraszewskim dowodzą nieodparcie pewnego prawa ekonomicznego w zakresie handlu książką. Podczas jednego z poprzednich sezonów księgarskich opinia publiczna mogła zwrócić uwagę na niemniej „gorszące" zjawisko, kiedy ukazały się naraz 3 wydania „Pana Tadeusza" (Horyzontu, Kamińskiego i Książki) oraz dwa wydania „Starej Baśni" (Czytelnika i Kamińskiego).) Nawet niedoświadczeni ekspedienci księgarscy wylewali z tego powodu piekielną złość pod adresem centralnych „czynników planowania", ponieważ... zabrakło chwilowo „Balladyny" i „Lilli Wenedy", choćby w jednym wydaniu.

Po czterech miesiącach nie było już śladu ani jednego wydania „Pana Tadeusza" w obiegu księgarskim, choć pierwszy wydawca wypuścił około 10.000, drugi 50.000, trzeci znacznie więcej egzemplarzy. W ciągu połowy roku szkolnego 1946/47 nie było możności nabycia „Pana Tadeusza", wkrótce potem i „Starej Baśni", i to mimo dwu kolejnych, ogromnych nakładów „Czytelnika". Czy można w tym wypadku mówić o winie wysokich czynników planowania? a jeśli zachodziła, to czy monopol w rękach którejkolwiek firmy ułatwiał zaspokajanie głodu książek wśród młodzieży szkolnej?

Przykłady powyższe nie dowodzą niczego więcej, poza „wydzieraniem sobie" dochodowych pozycji przez wydawców. W ostrym współzawodnictwie wydawcy prywatni usiłują nie poprzestawać na pozostawianiu im pozycji deficytowych. Rzecz jasna!

Wskazując na częstotliwość „Chaty za wsią" i „Dziecięcia starego miasta", jako straszliwy nonsens wydawniczy, jeden z krytyków podniósł, że nie myśli się jakoby o wydaniu innych, i to lepszych dzieł tegoż autora. Ależ myśli o tym K. W. Zawodziński, wespół z wydawnictwem Władysława Bąka, wydając jedną powieść po drugiej — „Kraszewskiego na nowo odczytanego", jest to z pewnością eksperyment udatny, wymaga jednak pewnej ostrożności, ryzyka, organizacji pomyślnych warunków dla zasłużonego renesansu nieco przytłumionego pisarza.

Nakład łączny 80 — 100 tysięcy egzemplarzy jednej z powieści Kraszewskiego w trzech różnych wydaniach nie może być porównywany pod względem racji życiowej z inną powieścią, wydaną tylko raz w 3 czy 5 tysiącach, **jeżeli tamte należą do obowiązkowej lektury szkolnej,** a ta do tego rzędu nie należy. Spróbujcie wydać „Irydiona" Krasińskiego chociażby w 500 egzemplarzach, jak w roku 1836 za życia autora — wątpliwe, czy sprzeda się kilka egzemplarzy, **o ile utwór nie będzie zalecony do użytku szkolnego.** Nie ma w tym doprawdy kulturalnego nieszczęścia, że niemal równocześnie ukazały się z różnych źródeł „Anhelli", „Kollokacja", „Powrót posła", „Sarmatyzm" i „Zemsta". Niechybnie właśnie dzięki tej częstotliwości młodzież mogła zaopatrzyć się w potrzebną książkę nie tylko w bliskim promieniu jednego miejsca wydania, lecz i w odleglejszych od niego kątach kraju (np. w Lanckoronie pod **Krakowem** i na Mokrym w **Toruniu**). I całe szczęście, że po wyczerpaniu się „Starej Baśni" w edycji „Czytelnika" pojawiła się znów „Stara Baśń" nakładem Chłopskiej Spółdzielni Wydawniczej — dzieci nie odchodzą przynajmniej od zmysłów, jak po żądaniach różnych podręczników szkolnych. Przyczyny czysto techniczne mogły sprawić, że poprzedni wydawcy nie podjęli się powtórzenia swoich nakładów, zajęci tymczasem innymi wydawnictwami, nie mówiąc już o trudnościach w uzyskiwaniu przydziału papieru.

I przed wojną mieliście jednocześnie w handlu księgarskim Goethego „Cierpienia młodego Werthera": 1) w wydaniu Biblioteki Narodowej, w tłumaczeniu Franciszka Mirandoli, 2) w wydaniu Św. Wojciecha, w przekładzie Leopolda Staffa, 3) w Biblioteczce Uniwersytetów Ludowych (Gebethnera i Wolffa), w przekładzie Piotra Choynowskiego. Nikt wówczas nie zwracał uwagi ani na zbieżność wydań, ani na nadmierne rozpraszanie się wysiłków tłumaczów. A ileż istniało przeróżnych wydań „Marii" Malczewskiego, od Zukerkandla poprzez Bibliotekę Narodową, aż do Wielkiej Biblioteki, raz po raz powtarzanych i odnawianych!

Nie martwcie się... książki deficytowe, nie ruszające się z magazynów, równie „chaotycznie", „bezplanowo" i „absurdalnie" nie wychodzą. Wręcz przeciwnie, najbardziej deficytowe i nieczytane wydawnictwa ukazują się obecnie w idealnej zgodzie z różnymi biurami planowań. Fałszywe alarmy **zaciemniają tylko istotną prawdę o stanie rynku wydawniczego i czytelniczego w Polsce,** odwracają głębszą uwagę od niedostatków książki szkolnej.

Chaos na rynku jest w dużym stopniu rezultatem... **przerostu planowań** (zachłanności) w poszczególnych sektorach: a) państwowym, b) spółdzielczym, c) organizacyjno-społecznym, d) prywatnym (dostosowującym się może najbardziej do dezyderatów, płynących z życia). Każdy z nich funkcjonuje na całkowicie odmiennych zasadach. Temat ten warto by poruszyć oddzielnie, zaczynając od objawienia ciekawej prawdy, że miliony ton papieru drukowego spoczywają w fabrykach papieru w próżnym oczekiwaniu dyspozycji odciążenia magazynów. W każdym razie gwałtowne potrzeby szkół powszechnych i średnich nie mogą być zaspokajane w stopniu mniejszym, aniżeli się to dotychczas dzieje.

Więc źródła chaosu biją znacznie głębiej, niż się to wydaje **pod pozorami anomalii.** Paradoksalne były by wobec nich wołania o planowość przez domaganie się likwidacji lub ograniczania działalności t. zw. sektora prywatnego. Wołania jednak zmierzają wyraźnie w tym kierunku.

Nie bierzemy tutaj specjalnie wydawców prywatnych w obronę. Trudno również nie przyznać, że sieć zamknięta jest rzeczywiście działaniem planowym, tak samo jak wielka akcja organizowania konsumcji bez **pośredników handlowych.**

Zjawiska kulturalne mają zawsze swe arcyciekawe oblicze gospodarcze, co nie powinno być w **sprawach elementarnych** pominięte.

Antoni Trepiński

W kraju...

PRAWO MAŁŻEŃSKIE

W związku ze zgłoszeniem przez Stronnictwo Demokratyczne projektu zmiany ustawy o prawie małżeńskim i urzędach stanu cywilnego, poseł dr Frankowski (Kat. Społ.) opracowuje szereg konkretnych poprawek, które zmierzają do uwzględnienia sakramentalnego charakteru małżeństwa. Gdyby poprawki zgłoszone przez posła Frankowskiego nie zdobyły większości na Komisji wykorzysta on przewidziane regulaminem uprawnienia i zgłosi odpowiednie wnioski mniejszości, które będą przedmiotem obrad plenum Sejmu. Tego rodzaju taktykę zastosował swego czasu Katolicka-Społeczny Klub Poselski w dyskusji nad zatwierdzeniem dekretu o uznanie za ważne rozwodów udzielonych w czasie wojny przez inne państwa.

RZEMIOSŁO OTRZYMA PRAWDZIWY SAMORZĄD

Na posiedzeniu Komisji Skarbowo-Budżetowej w dniu 3 grudnia poseł Sadłowski (bezpartyjny) zainicjował dyskusję w sprawie ordynacji wyborczej do izb rzemieślniczych, stwierdzając, że rychłe przeprowadzenie wyborów jest nieodzownym warunkiem usprawnienia działalności samorządu, gdyż umożliwi osobom kierującym pełną reprezentację rzemiosła wobec władz państwowych i wpłynie dodatnio na stabilizację stosunków w tej dziedzinie. Min. Minc złożył w związku z tym niezmiernie ważne oświadczenie, obiecując przyśpieszenie prac nad przygotowaniem ordynacji wyborczej.

Sądzimy, że rozwiązanie tego problemu będzie pierwszym krokiem do pozytywnego rozstrzygnięcia innych palących zagadnień samorządowych, a więc chociażby na odcinku izb przemysłowo-handlowych.

Już wyszedł z druku

KALENDARZ ZIEM ODZYSKANYCH

Nakładem Niższego Seminarium Duchownego w Gorzowie Wlkp.

Kalendarz jest zbiorem wiadomości historycznych i aktualnych o naszych ziemiach zachodnich. Grono pisarzy i publicystów katolickich omówiło w nim historię naszych średniowiecznych biskupów na tych terenach, najnowsze osiągnięcia Kościoła w pracy ściśle duszpasterskiej, narodowej i społecznej itp. W kalendarzu tym czytelnik znajdzie krótki szkic biograficzny ks. dra B. Domańskiego. Harcerzy zaciekawi barwnie ujęty problem „Ideały etyczne w harcerstwie polskim". Ilustracje najważniejszych kościołów i zabytków polskich Ziem Zachodnich dopełniają całości obrazu naszego regionu, coraz bardziej zrastającego się z resztą kraju. Wypowiedzi Papieża i Prymasa Polski na tematy religijno-narodowe w naszej Ojczyźnie wykreślają nam jasno drogi na przyszłość. Kalendarz ten powinien się znaleźć w każdej polskiej rodzinie. Cena wynosi 100 zł. Nabyć można w Księgarni św. Antoniego w Gorzowie, ul. Łokietka 26.

Czytajcie „SŁOWO POWSZECHNE"

Tydzień kulturalny

LIST OJCA ŚW. DO BISKUPÓW POLSKICH

Ojciec św. Pius XII przesłał Episkopatowi Polskiemu specjalny list. Papież zachęca Episkopat Polski do dalszego krzewienia nauki chrześcijańskiej i utrwalania jej dziełami miłosierdza. Ojciec św. pisze: „Wasze zalety pasterskie, dopełniane charyzmatami łaski Bożej, niech w tej tragicznej chwili dziejowej jaśnieją taka dostojnością, by przymuszały do podziwu nawet wrogów Wiary. Potężniej zaś i wymowniej, niż słowa, niech działają i błyszczą Wasze czyny: „Chrześcijaństwo, gdy jest przedmiotem nienawiści świata, działa nie tyle przekonywującymi dowodami, ile raczej wielkością swego czynu".

LAUREAT NOBLA

Tegoroczną nagrodę Nobla otrzymał Andrzej Gide, autor „Lochów Watykanu", „Fałszerzy monet", „Immoralisty" i „Jeśli ziarno nie umrze...". Bardziej niż jako powieściopisarz i poeta jest Gide znany jako krytyk i polityk. Jest twórcą całej szkoły literackiej, z której wywodzi się wiele sław — szkoły, której hasłami są: na dobrych uczuciach nie zrobiono nigdy dobrej literatury; ciekawy jest tylko grzech. Jego uczniem był przed nawróceniem H. Ghéon; wprowadził do literatury A. Malraux. Wielki wpływ wywarł także Gide na Mauriaca. Niegdyś Gide był komunistą, a nawet członkiem francuskiej partii komunistycznej. Potem komunistą być przestał. Podczas wojny ogłosił się nietscheaistą, co go bardzo podniosło w oczach niemieckiego okupanta. W ruchu oporu udziału nie brał, nikt nie miał jednak po wojnie do niego o to pretensji. Przetłumaczył w czasie wojny „Hamleta" specjalnie dla słynnego Barrault. Pisarz liczy osiemdziesiąt kilka lat. Od wielu lat pisze swoje pamiętniki tzw. „Journal", które, co pewien czas, tomami wydaje. Ostatnio wyszedł tom obejmujący lata 1939—1941. Nie brak w nim gorzkich słów dla dekadencji współczesnej Francji. Wojnie Gide poświęca mało uwagi — chwilami, czytając pamiętnik — trudno uwierzyć, że tuż obok filozofującego pisarza toczy się straszliwy bój. Pewne jednak echa rzeczywistości odbijają się w myślach Gide'a. Np. gdy pisze: „Sztuka zamieszkuje strefy umiarkowane i to, co wojna przynosi najszkodliwszego dla sztuki, to jest bez wątpienia upowszechnienie skrajnych namiętności — co prowadzi do rodzaju inflacji i do zdewaloryzowania wszelkich uczuć średnich. Cierpienia konającego Rolanda, rozpacz wywłaszczonego Leara wstrząsają nami dzięki swej wyjątkowości, ale tracą wymowę, kiedy zostają powtórzone w milionie wypadków. Samotność jest szczytem bólu, zbiorowość — to teatr. Sympatyzuję z jednostką, gubię się w masie. Rzecz niezwykła staje się banalną, powszechną. Artysta nie wie gdzie się ma schronić: w głowie czy w sercu. Wobec różnych żądań, nie mogąc na nie odpowiedzieć, wyrzeka się pracy, odchodzi. Pozostaje nam szukać ucieczki w sobie lub w Bogu. W ten sposób wolna ofiarowuje religii łatwe sukcesy...".

Nagrodę pokojową Nobla może i słusznie otrzymał, ponieważ umiał nie walczyć ani z marksizmem ani z hitleryzmem. Prześwietne jury mało niewątpliwie zainteresował fakt, iż Gide był i jest w nieustannej wojnie z katolicyzmem.

KATOLICKIE „ROZWODY"

Z okazji złożenia sprawozdania najwyższego sądu kościelnego Papież Pius XII wygłosił przemówienie, w którym odparł zarzuty stawiane temu sądowi jakoby służył on tylko do tego, by zasadniczo odrzucane przez Kościół rozwody umożliwić bogatym ludziom. Dziekan trybunału sądowego podkreślił w swym sprawozdaniu, że w ostatnich 10 latach wpłynęło do najwyższego sądu 833 podań o rozwód. Unieważniono 335 małżeństw, z tego w 185 wypadkach wpłynęły wnioski ze strony osób niezamożnych. Od czasu ustanowienia trybunału w r. 1929 (w związku z traktatem laterańskim) zawarto we Włoszech 5.750.000 małżeństw. W ciągu 17 lat wysunięto tylko 1.156 wniosków o kościelne anulowanie małżeństwa.

USTAWA PRZECIWALKOHOLOWA

Tow. „Trzeźwość" zwróciło się do Klubów Poselskich w Sejmie z wnioskiem reaktywowania ustawy przeciwalkoholowej z dn. 27.I.1922 r. Ustawa ta była dwukrotnie za czasów sanacji nowelizowana, tak że prawie całkowicie uległa przekreśleniu.

Najważniejsze art. ustawy z 1922 r. postanawiają:

1) ustalenie ilości miejsc sprzedaży napojów alkoholowych w stosunku do liczby mieszkańców;

2) wprowadzenie zakazu sprzedaży napojów alkoholowych nieletnim;

3) karanie osób znajdujących się w stanie nietrzeźwym w miejscu publicznym;

4) możliwość wprowadzenia zakazu sprzedaży alkoholu w poszczególnych gminach wiejskich i miastach po przeprowadzeniu głosowania powszechnego na tym terenie.

W memoriale swym Towarzystwo „Trzeźwość" nawiązuje do ostatniego expose Ob. Premiera Cyrankiewicza w Sejmie, który mówił m. i. o konieczności walki z alkoholizmem, jako z jedną z największych klęsk społecznych.

Tow. „Trzeźwość" podkreśla, iż, w związku z niezmiernym wzrostem alkoholizmu, zachodzi nagląca potrzeba obok szerokiej akcji społecznej, zwalczającej tę klęskę, wznowienia ustawy, mającej na celu ograniczenie alkoholizmu.

Wędrówki po scenach polskich

„KRAKOWIACY I GÓRALE" — PODBIJAJĄ SERCA ŚLĄZAKÓW

Niedobrze jest czasem na później odkładać pisanie recenzji. Sprawozdanie pisane bezpośrednio po spektaklu, na „gorąco", przepojone jest zwykle bezpośrednimi wrażeniami — jeśli jednak do tej samej pracy zabieramy się w kilka dni później, do głosu zaczyna dochodzić beznamiętna, nieraz zimna skłonność do analizy tego, co się widziało.

Po wyjściu ze spektaklu Państwowego Teatru Śląskiego w Katowicach miałem na pewno minę rozjaśnioną, nastrój wesołości, nawet radości z powodu przyjemnie spędzonych trzech godzin.

Dziś grymasy analityka zaczynają dopominać się o swoje prawa. Nie daje mi spokoju myśl, że Bogusławski dla przeprowadzenia w swojej sztuce pewnej tezy ideologicznej o ściśle określonym charakterze polityczno-społecznym nagiął do tego celu nie tylko sytuację, ale bohaterów, którzy postępują tu nie zawsze zgodnie ze znaną nam prawdą.

Nie wyobrażam sobie np., by górale, oglądający „Cud Mniemany" mogli być zachwyceni swoimi podobiznami na scenie. Doszłoby może nawet do poważniejszych zatargów z autorem. Wyglądają przecież u Bogusławskiego jako ludzie podstępni, a nawet tchórzliwi.

To minięcie się z prawdą usprawiedliwiamy sobie bardzo łatwo: było ono konieczne. A zresztą i to nie jest ważne. Bogusławskiemu nie szło wcale o jakąś prawdę w malowaniu postaci — istotna koncepcja sztuki tkwi w bardzo patriotycznej chęci przemycenia pod płaszczykiem obrazka ludowego pewnych myśli politycznych i społecznych. Godziło się w pojęciu autora dla wyższych celów zaniedbać mało znaczące szczegóły.

Powstaje jednak pytanie, czy nie jesteśmy zbyt pochopni w przymrużaniu oczu na te niedociągnięcia.

Czy autor, wykonujący tzw. „zamówienia społeczne" ma prawo lekceważyć sobie środki, którymi się posługuje, byleby główna prawda postawiona była należycie i jasno.

Waga tego pytania jest szczególnie wielka, gdy twórcy słyszą wokół siebie słuszne wołania o realizację zamówień społecznych.

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy" — ktoś powie. Czasem, zgoda, ale... ani lasy nie płoną już dziś tak groźnie, a róż bądź co bądź szkoda.

Bogusławskiego jest tam bardzo łatwo usprawiedliwić — inne to były czasy. Ojciec teatru polskiego wykazał zbyt wiele odwagi samym faktem zwrócenia się do cenzury z prośbą o zezwolenie na realizację „Krakowiaków i górali".

Dziś musimy jednak patrzeć na te sprawy nieco inaczej, bardziej serio, tym bardziej, że przypadkowo powstałe błędy, dziś niejednokrotnie przeradzają się w usterki, wprowadzane do dzieła świadomie, z rozmysłem, celowo, dla uzyskania kontrastu. Tak było u Korcellego, tak jest na przykład w granej obecnie przez Teatr Polski sztuce Priestley'a.

Prawda jest jednym z podstawowych elementów sztuki, przy czym postulat ten sięga tak daleko, że kategorycznie zabrania nam lekceważenia „mniejszej" prawdy, dla tym wyrazistszego uwypuklenia „większej". Cudzysłów wprowadzam rozmyślnie, bo w istocie prawda jest tylko jedna: nie ma ani mniejszej, ani większej.

Minięcie się z prawdą przekreśla wartość pracy jako dzieła artysty — zostaje tylko tendencyjna robota, publicystyka z jej niebezpieczną skłonnością do pomniejszania jednej tezy, a wywyższania drugiej, przy czym każdy z zastosowanych środków ma być przez cel uświęcony.

***

Cóż to ma jednak wspólnego z „Cudem Mniemanym". Słuszne przywołanie do porządku. Ostatnie zdania zbyt daleko odbiegają od sprawozdania. Sama sztuka Bogusławskiego wywarła na mnie bardzo korzystne wrażenie. Bałem się jakiegoś jej przestylizowania — na szczęście obawy okazały się płonne. Całość włożona w ramy niezłych w pomyśle, ale dość tandetnych w wykonaniu dekoracji Władysława Daszewskiego tworzyła widowisko urocze, bardzo malownicze, swojskie i mocno chwytające za serce.

Poziom wykonania wróży, iż w Katowicach jednak będzie dobry teatr. Postacią, która specjalnie utkwiła mi w pamięci, była Basia w realizacji Sabiny Chromińskiej. Artystka ta zasługuje na wielkie pochwały, jeśli oczywiście nie przewrócą jej w uroczej główce.

Wymienić trzeba również z uznaniem filary zespołu śląskiego: Janinę Jabłonowską, Mariana Bieleckiego, Mariana Jastrzębskiego i Jerzego Fitio. Stefan Rydel (Bardos) mdły, momentami refrenista z dancingu. Szkoda, że nie oglądałem w tej roli Krasnowieckiego.

„Krakowiacy i górale" w dobrą porę trafiły na Śląsk. Sądzę, iż poczują się tu dobrze i naprawdę podbiją serca Ślązaków.

TEATR „JASKÓŁKA" — MINIATURY

Był moment w czasie spektaklu, kiedy chciałem zakrzyknąć pełen entuzjazmu: oto odkrycie! Powodem tego nastroju była myśl, iż taką właśnie formę pracy dramatycznej należałoby w Polsce rozkrzewić jak najbardziej, by przyjęta została przez błądzące po manowcach zespoły teatrów ochotniczych (tak się to teraz modnie nazywa nic wspólnego ze strażą ochotniczą nie mające), naszych świetlic ludowych robotniczych.

Raz już, było to w roku ubiegłym, pomysł ten we mnie począł kiełkować. Było to po spektaklu krakowskiego Teatru Rapsodycznego M. Kotlarczyka. Niektóre obrazy w przedstawieniu warszawskim upewniły mnie w tym przekonaniu.

Nasze zespoły ochotnicze marnują czas i robią wszystko tylko nie to, co robić powinny. Po deskach scenek świetlicowych plączą się ciotki Karola (grywają a zresztą i teatry stałe), najrozmaitsze bzdury i owoce grafomańskiego niechlujstwa, albo, najniepotrzebniej i najszkodliwiej w świecie wkraczają na te scenki pozycje z repertuaru teatrów zawodowych. I jedno i drugie nie ma żadnego sensu. Teatr ochotniczy, miast mieć swój własny repertuar, inny, zupełnie inny, niż teatry stałe. Teatr ochotniczy ma wypełnić podwójne zadanie: 1) pozwolić się wyżyć artystycznie wykonawcom spektaklu i 2) przygotować widza dla teatrów stałych.

I jeden i drugi cel może być osiągnięty tylko wówczas, gdy praca takiego zespołu oprze się na właściwym tworzywie repertuarowym. Teatr ochotniczy powinien być właśnie teatrem małych form.

I byłbym może wdzięczny zespołowi „Miniatur" za ugruntowanie we mnie tej koncepcji, gdyby nie druga część spektaklu. Bo przecież tym teatrom ochotniczym ktoś musi owe małe formy przygotować do opracowania.

Gdyby na tym stanęło w dniu dzisiejszym, boję się, że w tej produkcji zbyt wiele byłoby nikomu niepotrzebnych grotesek w rodzaju Jalabertowskiej „Wszystko na dobre się zmienia". Proszę mi powiedzieć, jaki jest sens tego nonsensu? Komu on jest potrzebny? Po co nim męczyć i aktorów i widzów?

„Miniatury" wystartowały źle. Kto ponosi winę? Na scenie sprawcy nie znajdziesz.

Mieczysław Markowski

RECENZJA Z PORANKU POETYCKIEGO W ŁODZI (Hertel — Wirth — Szczawiński — Olszewski)

Czterej młodzi poeci łódzcy, którzy kilka miesięcy temu dali się poznać szerszej publiczności nader udanym porankiem autorskim, wystąpili po raz drugi z nowym ładunkiem lirycznym w sali łódzkiego Konserwatorium.

Zbyt krótki okres, dzielący obie imprezy artystyczne, nie upoważnia do wypowiadania—bez zastrzeżeń—krytycznych sądów o tym, czy i w jakim stopniu dojrzewa świadomość artystyczna, jak i doskonalenie rzemiosła poetyckiego u młodych poetów. Jedno jest pewne — rzetelny wysiłek i praca, której owoce były na tyle bogate, aby obdzielić nimi kilka pism literackich (Arkona, Dziś i Jutro, Warszawa i in.) i wypełnić nowymi wierszami poranek sprzed dwu tygodni.

Trudno jest jeszcze mówić o tym, że omawiana tu grupa poetycka wypracowała swój własny program artystyczny — to będzie rzeczą wtórną, narastającą w miarę czasu i wzajemnego przecierania się i oddziaływania na siebie raczej personalnie dziś związanych poetów. Można natomiast uchwycić w twórczości młodych pewien wspólny mianownik, pewien rys dostatecznie czytelny, który — wprawdzie w aspekcie poza - artystycznym — usprawiedliwia i tłomaczy bliższe związanie się w grupę, mianowicie: katolicyzm. Katolicyzm, który odzywa się u każdego z nich, poprzez temat, poprzez problematykę, zaszyfrowaną w liryczne i satyryczne wiersze. Trudno jest również wyrokować na podstawie porównywania utworów, który z poetów reprezentuje wyższą klasę artystyczną. W każdym tkwią niewyzwolone jeszcze zadatki i możliwości i w każdym, bezsprzecznie — talent.

Najbardziej tradycyjną drogą idzie **Józef Hertel.**

Najbogatszym w formie i najśmielszym w eksperymentach formalnych jest **Andrzej Wirth,** który— sądząc z jego doskonałych tłumaczeń z Horacego — eksperymentuje świadomie, w oparciu o dokładną znajomość poetyki klasycznej — i nowej.

W nowych wierszach **Józefa Szczawińskiego** da się dość wyraźnie wyczuć pewne zaburzenia i niedociągnięcia formy, które bynajmniej nie świadczą o drodze w dół — ale o intensywnym poszukiwaniu najwłaściwszej formy, o trudnym stadium przesuwania się z pozycyj tradycyjnych na nowe, jeszcze nie opanowane i nie wyczute.

Zupełnie odrębną pozycję reprezentuje w grupie **Wacław Olszewski** — satyryk. W jego twórczości najwyraziściej występują akcenty społeczne, obyczajowe i polityczne. Operuje ostrym, kontrastowym światłocieniem, pokazuje świat, wycinki ludzkiego życia i sprawy ludzkie jakby w oślepiającym blasku magnezji. Wśród akcesoriów poetyckich obrazów — dominuje u niego przerażająca w swym chłodzie i potędze technika współczesna, na tle której tym cieplej i mocniej rysują się sprawy ludzkie, ludzka dusza. Poezja Olszewskiego jest nawskroś humanistyczna i to w typie chrześcijańskim. Przed twórczością Olszewskiego stoją, moim zdaniem, największe możliwości i nadzieje — ale jednocześnie największe niebezpieczeństwa. Jeśli zdoła utrzymać ten ton i kierunek, jaki reprezentuje znaczna część jego satyr, stanie się doskonałą klasą artystyczną rodzaju, jaki uprawia. Jeśli oddziałają na niego rutyniarze i rewjowcy, produkujący się i produkowani przez Szpilki i Rózgi — stanie się jednym z nich, powielonym Kernem, Słobodnikiem, Sojeckim czy Zachenterem.

Właśnie chronologicznie ostatni, doskonały jego wiersz „Pro i antyfony", odczytany na drugim poranku autorskim w Łodzi, pozwala przypuszczać, że Olszewski wie jaka jest jego droga poetycka.

Maciej J. Kononowicz

FILM

„LUDZIE BEZ SKRZYDEŁ" — „NOC GRUDNIOWA"

Nie było dotychczas dobrego filmu z okresu konspiracji pomiędzy tymi, które widzieliśmy w Warszawie. Można to tłumaczyć trudnością przeniesienia na ekran drastycznych scen okupacji, scen, których realizm łatwo może być przesadzony, a napięcie akcji liczy się ilością trupów.

Podobne zarzuty można postawić i „Ludziom bez skrzydeł", filmowi opartemu na wycinku podziemnej walki w Czechach. Patos postaci głównego bohatera jest nie przekonywujący i sztuczny, a cały film grzeszy przejaskrawieniem akcentów. Konspiratora rażą ponadto niektóre szczegóły akcji, przeczące zasadom bezpieczeństwa pracy podziemnej. Najlepsze są sylwetki i sceny drugoplanowe, które, mając pozostać w cieniu głównych, są opracowane mniej drastycznie i przez to nabierają cech naturalności.

Na marginesie warto wspomnieć o jedynej chyba próbie — zrobionej właśnie przez Czechów — ujęcia okupacji na wesoło w filmie nakręconym w wersji angielskiej o przygodach sławnego wojaka Szwejka w walce z okupantem. Oprócz sytuacji komicznych przemycone tam były i sceny o napięciu dramatycznym, a całość podawała w bardzo strawnej dla zagranicznego widza formie informacje o czeskim ruchu oporu i doskonale służyła swemu propagandowemu celowi.

Nadprogram wyświetlana jest świetna w pomyśle (ożywienie stylizowanych zabawek) i wykonaniu czeska krótkometrażówka.

Oryginalną atrakcją kina „Palladium" dla recenzenta jest fakt, że miejsca prasowe przydzielane są w ostatnich rzędach parteru, tymczasem w środku sali krzesła noszą piękne tabliczki: „zarezerwowane". Dla kogo?

———

Rzetelną atrakcją w powodzi ostatnich premier jest „Noc grudniowa". Skomplikowana akcja scenariusza o tematyce zasadniczo starej i banalnej (historia miłości pianisty, rozgrywająca się na przestrzeni lat 1919 — 1939) jest niewątpliwie trudna dla wykonawców, pełna pułapek dla reżysera — a jednak rozwiązana bardzo ciekawie i inteligentnie. Do zalet filmu trzeba zaliczyć żywy dialog i doskonałą oprawę muzyczną. Gra artystów jest swobodna, pełna naturalności, pozbawiona wszelkich zbędnych efektów, stwarzająca charaktery. Reżyser unika — charakterystycznych dla produkcji amerykańskiej — jaskrawych chwytów. Momenty praktyczne odciążone są lekkim tak pociągającym w filmach francuskich dowcipem. Widz nie spostrzega w czasie akcji „gry" i „reżyserii", nie narzucają mu się one — i świadczy właśnie o poziomie filmu.

Być może, że duża część publiczności, znużona poziomem ostatnich premier, zniechęciłaby się do kina, a stali bywalcy wolą obrazy kryminalne, czy Flipa i Flapa od wymagającej wysiłku myślowego produkcji artystycznej. Przykładem tego są pustki na „Nocy Grudniowej" i brak powodzenia, który spotkał również bardzo ciekawy i ze wspaniałą oprawą muzyczną film angielski „Siódmej Zasłony". **L-scy**

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

12

Stefan Kisielewski (Kisiel)

Komisarz patrzył na to z niechęcią i obrzydzeniem, głowa pułkownika Norda, tkwiąca w ramionach bez pośrednictwa szyi wyrażała nieme osłupienie. — Ochch — he he he, hi hi hi hi, ho ho ho ho, wył radca, a siedzący obok dyrektor Kamil Lorm uśmiechał się również. Pułkownik w monoklu przysunął się bliżej, nieco zdziwiony, tylko na twarzy mnistra malowało się obojętne raczej znużenie, niepozbawione odcienia niesmaku.

— Ochch — hi hi hi hi — nie mogę, nie mogę — piał teraz radca bijąc rękami jak osesek w kołysce. — Coś tak świetnego jeszcze mnie — ho ho ho ho — w życiu nie spotkało — hi hi, he he, ho hoho...

— Ależ o co chodzi? — zapytał zimno komisarz.

— Oto, drogi panie — radca uspokajał się powoli, że — ho ho ho — że doktór Alen jest od wielu lat specjalnym naszym agentem, który działa dla nas — ha ha ha ha (nie mogę, nie mogę!) — wśród ludzi ze „Świata Nowego", cieszy się ich zupełnym zaufaniem i informuje nas o wszystkich ich posunięciach. Baby lecą na niego, więc ostatnio napuściliśmy go na tę asystentkę Dillon, której zadaniem partyjnym właśnie było wypompować z Galarda jego wynalazek... A pan tu... hehehe, hihi — no widzi pan teraz sam, jak wy pracujecie!

Milczący dotąd Kamil Lorm przemówił tonem nadspodziewanie uprzejmym.

— Rzeczywiście panie komisarzu, system pracy Policji Politycznej jest absolutnie różny od pracy waszego wydziału. My musimy działać przez specjalnych konfidentów, których mamy we wszystkich podziemnych organizacjach: nierzadko zajmują oni nawet wysokie stanowiska w hierarchii partyjnej, cieszą się absolutnym zaufaniem swoich „towarzyszy" i prowadzą partię w kierunku, w jakim my sobie życzymy. Działalność ich, często wieloletnia, musi być ściśle zakonspirowana, nawet wobec policji — stąd nieporozumienia, takie właśnie, jakiego pan padł ofiarą. Dr Alen z racji swojego stanowiska w Zakładzie jest dla nas specjalnie cennym agentem, informuje nas bowiem o różnych skrytobójstwach politycznych, samosądach i zamachach, które są w stolicy na porządku dziennym.

Komisarz siedział przez chwilę kompletnie ogłuszony.

— Ale przecież zamach na mnie... wybąkał wreszcie — zamach na mnie musiał być zrobiony za wiedzą doktora. Zielone auto...

— Zamach zamachem, ale widzimy przecież, że pan jest zdrów i cały — przerwał mu radca Pikron. — Na pewno zawdzięcza pan to Alenowi — w jego robocie nie ma przypadków — widocznie nie dało się zrobić inaczej. Musi się pan przygotować na to, że w sprawie, gdzie chodzi o byt Republiki i o życie milionów, pańskie zdrowie nie jest znowu tak bezcenne... Obiecuję panu jeszcze dziesięć takich zamachów, a przy waszej metodzie prowadzenia sprawy dziwię się, że pan w ogóle dotąd żyje...

— Przepraszam panów — zachowujący cały czas pełen znużenia spokój minister przemówił głosem cichym ale nakazującym posłuch. — Czy pan komisarz ma nam prócz tego coś jeszcze do zakomunikowania?

Gromel przełknął ślinę.

— Tak, oczywiście — głos miał nieco ochrypły. Oprócz tego wykryłem również istnienie testamentu profesora Galarda. Testament ten znajduje się u przysięgłego rejenta Randena, który jednak odmawia okazania go, zasłaniając się tajemnicą zawodową.

— Kho ho ho — Pikron znowu zakrztusił się śmiechem, lecz na zniecierpliwione nieco spojrzenie ministra uspokoił się. — Ależ pan ma dzisiaj szczęście—po prostu blamaż na całego! Toż rejent hrabia Filip Randen jest również naszym agentem — działa wewnątrz „Narodu Przebudzonego" a o testamencie Galarda mówił nam już dawno. Rzeczywiście, widzę, że panowie nie stracili czasu: wytropiliście wszystkich naszych funkcjonariuszy. I jeszcze mówią, że Policja Śledcza źle pracuje — he he he!

Komisarz był blady, na górną część policzków wystąpiły mu ciemne rumieńce, mówił jednak głosem chłodnym i opanowanym.

— Oto najlepszy dowód, ekscelencjo, jak utrudnia nam pracę Policja Polityczna, nie powiadamiając nas nawet o osobach agentów, biorących udział w śledztwie. Co prawda ci agenci również w dziwny postępują sposób — straciliśmy przez to sporo cennego czasu. Pozwolę sobie wobec tego zapytać, czy panna Dillon i pan Hagewand, asystenci profesora Galarda, których przesłuchiwałem wczoraj, nie są przypadkiem również funkcjonariuszami Policji Politycznej?

Pikron chciał odpowiedzieć coś gwałtownego, wydobył nawet z gardła wstępne skrzeknięcie, lecz ubiegł go dyrektor Lorm.

Nie panie komisarzu — mówił jak zwykle uprzejmie. Panna Alicja Dillon i Karol Hagewand są przedstawicielami dwóch konkurencyjnych organizacji podziemnych; celem ich działalności jest zawładnięcie przygotowywanym od szeregu lat wynalazkiem profesora Galarda. Wiemy o tym również od lat i dlatego właśnie pozwoliliśmy im ulokować się w pobliżu profesora — aby ich z bliska mieć na oku. Każdy ich krok jest przez nas śledzony, ponadto Laboratorium Badań Specjalnych znajduje się pod stałą kontrolą Oddziału Wywiadowczego Ministerstwa Obrony Narodowej.

Milczący dotąd jak ryba a przypominający wyglądem koguta pułkownik z Ministerstwa Obrony poruszył się nagle porywczo, tak, że monokl spadł mu na kolana.

O ile słyszałem, woźny Zakładu Chemii jest agentem Wywiadu — zauważył w jego stronę zupełnie już opanowany komisarz Gromel.

Pułkownik Hollon spojrzał nań wzrokiem całkowicie nieprzytomnym: białka miał zaczerwienione, wyraz oczu zgoła wariacki. — A cóż to za nowe dziwadło? — pomyślał z przykrym zdziwieniem Gromel. Wszyscy wyczekująco spojrzeli na koguta, który z trudem otworzył usta.

— Taa-a-ak — wymruczał schrypniętym głosem. Ten woźny tooo — nasz człowiek.

— Czy rozporządza on dostateczną osłoną? — zapytał minister.

— O, tak, t-aak — tak, tak — pułkownik jakby się nagle obudził. — On ma tam zainstalowany cały automatyczny aparat alarmowy, bezpośrednio połączony telefonicznie ze mną. Tak, ta-ak — ma, ma.

Hollon powiódł nagle po obecnych tak dziwnym spojrzeniem, że komisarzowi ciarki przeszły po grzbiecie. Zaiste — osobliwy był ten przedstawiciel wywiadu wojskowego.

W pokoju nastała cisza. Wpadł w nią dźwięczny głos ministra.

— A więc widzą panowie sami, że koordynacja waszej dotychczasowej pracy była niewystarczająca. Czas nagli — sprawa jest najwyższej wagi. Sądzę, że musimy przede wszystkim ustalić formy współpracy poszczególnych aparatów. Bez tego nie ruszymy naprzód i może nas spotkać katastrofa.

XII.

Pierwszą osobą, na jaką natknął się komisarz po powrocie z Ministerstwa do Wydziału Śledczego był doktór Alen. Oczekiwał on Gromela w jego gabinecie; siedział przy biurku, obok niego stała skórzana torba. Na widok zdziwionego nieco komisarza podniósł się — twarz miał jak zwykle opanowaną i nieprzeniknioną, za to słowa jego dalekie były od codziennej powściągliwości.

— Zdarzyła mi się bardzo niezwykła przygoda — przemówił bez wstępów, nie spostrzegając jakby mało tym razem serdecznej postawy przyjaciela. — Bardzo niezwykła — sądzę, że ty jeden potrafisz mi tę rzecz wyjaśnić. Przede wszystkim powiedz mi, czy znasz to.

Szybkim ruchem otworzył torbę i wydobył z niej jakiś zawinięty w papier przedmiot, odwinął go, ujął w wyciągniętą naprzód prawą rękę i ukazał oczom komisarza.

Gromel skamieniał — przez chwilę zdawało mu się, że nie zdoła pohamować krzyku, jaki wydusi mu z płuc nagła, przeszywająca groza. Ale żaden głos nie wydobył się z jego gardła — stał nieruchomo i patrzył, nie odrywał oczu. Doktór trzymał w wyciągniętej ręce rzecz straszliwą, najstraszliwszą, rzecz, o której nawet pomyśleć trudno, a cóż dopiero mieć ją przed sobą i to wydobytą z podręcznej, skórzanej torby. W dodatku — czy to było złudzenie? — nie, to rzeczywistość — trzymana przez doktora za włosy głowa ludzka wydawała lekki, ale niemniej ohydny fetor, jakby unoszący się ze szlamistego stawu, gdzie gniją ciała zdechłych żab, ryb i ślimaków. Fetor ten nieznacznie rozpełzał się po pokoju, zatruwał powietrze, łaskotał ohydnie wnętrzności, dusił — komisarz poczuł nagle zbliżanie się nieuchronnych torsji. Przełknął ciężko ślinę, zacisnął zęby i cofnął się o krok. Potrącone krzesło upadło na ziemię z hukiem — ten huk otrzeźwił nieco komisarza.

— Czy znasz tego człowieka? — powtórzył doktór.

Gromel pokonywując wstręt, grozę i zaskoczenie z udanym spokojem wpatrzył się w wiszącą na włosach głowę. Twarz papierowo biała, miejscami zielonawa, włosy rzadkie, usta wąskie jak dwa sznurki z bezkrwistego, sinego mięsa, na dole strzępy szyi. Głowa upiora — to już nie głowa człowieka. Lecz nagle we wzroku komisarza coś zamigotało. Z gorączkowym pośpiechem rzucił się do biurka, dygocącymi rękami otworzył jedną z szuflad i wydobył z niej fotografię. Doktór nieruchomy stał dalej z wyciągniętą ręką. Komisarz przyskoczył doń i pełen napięcia jął się wpatrywać na przemian to w fotografię to w trzymany przez doktora trupi strzęp. Upłynęła długa chwila.

— Tak — wychrypiał wreszcie komisarz, z trudem poruszając skołczałym językiem. — Nie ma wątpliwości: to on!

— Kto?

— Profesor Galard.

— Galard?!

W głosie doktora zabrzmiało zdziwienie — ale właściwie dosyć umiarkowane. Zresztą był on przecież zawsze niezwykle opanowanym człowiekiem.

— Czy jesteś tego pewien?

— Najzupełniej.

Doktór odłożył swój przerażający eksponat na krzesło, przykrył go gazetą i chłodno spojrzał na Gromela. Komisarz czekał w milczeniu.

— Czy znacz pasaż Salisburga? — zapytał doktór.

— Znam.

— Otóż dziś rano doniesiono nam telefonicznie, że w pasażu Salisburga przed jednym z magazynów leżą zwłoki męskie, owinięte w zielony płaszcz. Doniósł o tym patrolujący tam przodownik. Udałem się z dwoma ludźmi na miejsce i stwierdziłem, że jest to trup mężczyzny w początkowym stadium rozkładu, z odciętą niemal całkowicie głową. W chwili, gdy zajęty byłem badaniem zwłok, nadjechało nagle wielkie ciężarowe auto, z którego wyskoczyło kilku zamaskowanych ludzi, uzbrojonych w rewolwery. Jak wiesz, w tej części pasażu Salisburga ulica jest niezwykle wąska, ruch samochodowy musi być jednostronny, toteż ciężarówka zatarasowała niemal całe przejście. Ludzie ci otoczyli nas, pod groźbą rewolwerów zmusili do odejścia od zwłok, rozbroili przodownika, po czym szybko unieśli trupa do samochodu. Głowa odpadła od tułowia i leżała na bruku — dowódca napastników spostrzegł to i zawahał się chwilę, lecz widocznie bardzo zależało im na pośpiechu — lada moment mogło przecież nadjechać jakieś inne auto. W tym samym czasie jeden z nich przedziurawił opony naszego samochodu. Cała rzecz nie trwała dłużej niż parę minut. Pojechali z wielką szybkością w stronę południowego wylotu pasażu Salisburga — wobec pęknięcia opon nie mogliśmy ich ścigać, choć próbowaliśmy. Oto wszystko.

Zapadła cisza. Odór wydzielający się z leżącego na krześle, przykrytego papierem przedmiotu zdawał się falować w przejrzystym powietrzu biura. Na dworze, za oknami było jasno, zimne, krystaliczne choć bezsłoneczne przedpołudnie — tutaj w pokoju panowała zgnilizna.

Dzwonek telefonu zadźwięczał ostro, przenikliwie. Komisarz drgnął, doktór nie poruszył się. Za drugim dzwonkiem Gromel podniósł słuchawkę.

— Dzień dobry komisarzu — zabrzmiał niski, gardlany głos kobiecy o nieuchwytnie cudzoziemskim akcencie, głos, znany Gromelowi tak dobrze — aż za dobrze, głos, który zawsze dotąd zwiastował mu jakąś nową zbrodnię. — Niech pan o nic nie pyta, niech pan nie traci czasu. Hagewand i jego ludzie porwali ciało profesora — może się stać straszne nieszczęście. Niech pan im odbierze zwłoki. — Ukryte są w piwnicach Zakładu Chemii. Ale prędko — jeśli wam życie miłe.

Coś zgrzytnęło w słuchawce — daleka rozmówczyni rozłączyła się. — Hallo! — warczał komisarz. Lecz odpowiadała mu tylko lekko sycząca telefoniczna cisza.

Doktór stał dalej bez ruchu. Gromel zwrócił się doń żywo.

— Czy twoje auto ma już opony?

— Tak.

— Jest na dole?

— Tak.

— Biorę czterech ludzi i jedziemy do pasażu Salisburga!

Pasaż Salisburga to jeden z najdziwaczniejszych fragmentów naszej stolicy. Trudno zaiste pojąć, jakie kolcje historii miasta powołały do życia ten osobliwy twór, przypominający zagubiony, niedostępny, otoczony zwalonymi drzewami jar w puszczy. Jest to kompleks wąziutkich ni to uliczek ni to korytarzy, przykrytych grubym szklanym dachem i tworzących niemożliwy do odcyfrowania labirynt. Powikłanie pasażu Salisburga zwiększają jeszcze przejściowe podwórza, nie wiadomo w istocie czy podwórza czy również uliczki, jakieś ruchome, zmieniające wciąż swoje oblicza fasady domów (wynika to z osobliwego faktu, że liczne znajdujące się tutaj magazyny, kawiarnie i garkuchnie mają rozsuwane, przenośne wystawy, które na noc się opróżnia, wsuwa do środka i zamyka ciężkimi, metalowymi żaluzjami) — w dodatku dezorientację nowoprzybyłego zwiększa to, że uliczki czy korytarze pasażu Salisburga są kręte i wciąż się rozgałęziają — nigdy nie można przewidzieć, na jakie miejsce Dzielnicy Wschodniej wyrzucą przechodnia te powykręcane, skamieniałe arterie chorobliwego zaiste organizmu. Są w naszym mieście ludzie, którzy przysięgają, że pasaż Salisburga nie posiada określonej wielkości ani kształtu, że stale się zmienia i niemal przenosi z miejca na miejsce. Oczywiście dużo w tym przesady — przeciwko tej hipotezie świadczyć może choćby fakt, że pasaż stanowi osobny okręg policyjny, podzielony na ściśle określone odcinki. Jest to sprawa ważna, bowiem policja ma tutaj dużo do roboty: pasaż ten, choć uliczki jego niezbyt są ruchliwe, przyczajone jakby pod swoim szklanym niebem, tworzy w istocie kłębowisko spraw tajemnych, skomplikowanych, a zawsze, z reguły, nieczystych. Za przysłoniętymi w dzień i w nocy oknami tutejszych domów, w zakamarkach ukrytych barów, kawiarni, dancingów i sklepów rozgrywają się wydarzenia, o których napewno nie śniło się niejednemu z filozofów. Pasaż Salisburga to miejsce spotkań wszystkich niebieskich ptaków, wszystkich sępów i szakali, których takie mnóstwo żeruje na dyszącej trudnym życiem, ciężką pracą a nie rzadko gorzką nędzą Dzielnicy Wschodniej. Jakby małe, samodzielne, dziwaczne miasto — w mieście.

c. d. n.

Z zagadnień gospodarczych

Na temat nacjonalizacji

Motywy natury technicznej i socjalnej były po drugiej wojnie światowej szczególnie silnym impulsem do przeprowadzania nacjonalizacji we wszystkich niemal państwach kontynentu europejskiego. Istnieją duże różnice poglądów w sprawie wielu problemów wiążących się z zagadnieniem nacjonalizacji, tym nie mniej, jej konieczność — przynajmniej w zakresie podstawowych działów produkcji — jest uznawana również i w państwach nie posiadających modelu socjalistycznej gospodarki planowej.

Ponieważ jednak nacjonalizacja nie jest celem sama w sobie, lecz stanowi środek do osiągnięcia celu, którym jest zużytkowanie zasobów państwa w sposób zapewniający maksimum korzyści dla całej społeczności, szczególnie duży nacisk położyć należy na obserwację i analizę form organizacyjnych znacjonalizowanych działów produkcji pod kątem widzenia realizacji powyższego celu.

Na uwagę winna zasługiwać również ewolucja form nacjonalizacji oraz jej wyniki w poszczególnych państwach Europy. W związku z powyższym podajemy, w krótkim streszczeniu wywody Ernest Davies, posła do Izby Gmin z ramienia partii socjalistycznej (Labour Party), który analizuje strukturę przedsiębiorstw znacjonalizowanych po roku 1945 w Wielkiej Brytanii.

Autor zastanawia się nad zagadnieniem pod kątem widzenia tego, czy przedsiębiorstwa znacjonalizowane zapewniają lepsze warunki pracy robotnikom oraz czy lepiej zaspakajają potrzeby społeczeństwa. Punktem wyjścia jest stwierdzenie, że nacjonalizacja nie może ograniczać się jedynie do zmiany właściciela, gdyż nie zachodzi żadna zmiana dodatnia przez zastąpienie monopolu prywatnego monopolem publicznym. Sukcesy nacjonalizacji są oceniane przez konsumentów na podstawie usług, których im przedsiębiorstwa znacjonalizowane dostarczają, a przez robotników przedsiębiorstw znacjonalizowanych na podstawie zmian zaszłych w warunkach pracy.

Dotychczas objęte są w Wielkiej Brytanii nacjonalizacją tylko nieliczne działy gospodarki, a mianowicie: Bank Anglii, przemysł węglowy, telefony i radio, lotnictwo cywilne. Nacjonalizację transportu i hutnictwa można również uważać już za dokonaną. Przed rozszerzeniem zasięgu nacjonalizacji na dalsze działy gospodarki należy tak zorganizować funkcjonowanie przedsiębiorstw znacjonalizowanych, by mogło ono stanowić argument przekonywujący społeczeństwo o ich wyższości nad przedsiębiorstwami będącymi własnością prywatną. Zagadnienie to zależy od pozytywnego rozwiązania całego szeregu problemów. Z jednej strony społeczeństwo winno być zabezpieczone przed eksploatacją ze strony państwa, a z drugiej strony kontrola publiczna winna zabezpieczać realizację podstawowych zamierzeń polityki gospodarczo-socjalnej rządu. Pojęcie nacjonalizacji winno obejmować określoną władzę państwa oraz elastyczność funkcjonowania przedsiębiorstw znacjonalizowanych.

Według obecnie stosowanych zasad w Wielkiej Brytanii przedsiębiorstwa państwowe (public corporation))są jednostkami samodzielnymi posiadającymi osobowość prawną. Zarząd przedsiębiorstwa spoczywa w ręku kilku fachowców. Zarząd jest odpowiedzialny przed właściwym ministrem, a za jego pośrednictwem przed parlamentem. Przedsiębiorstwo posiada autonomię finansową. Minister nie ingeruje w sprawy bieżące przedsiębiorstwa.

Powojenne ustawy o upaństwowieniu przewidują powołanie dwóch rad t. j. rady konsumentów domowych (właściwych konsumentów) oraz rady t. zw. konsumentów przemysłowych. Rady te mają za zadanie wyrażać krytykę oraz przedstawiać wnioski w wypadkach wymagających odmiennego unormowania czy to w zakresie administracyjnym czy też produkcyjnym.

Podkreślić jednak należy, że dotychczasowe koncepcje rządu dotyczące administracji przemysłów znacjonalizowanych nie uwzględniły istniejącej konieczności zdemokratyzowania przedsiębiorstwa równocześnie z jego nacjonalizacją. Również stwierdzić trzeba, że obecna forma administracji przedsiębiorstw znacjonalizowanych jest właściwą, ale pod warunkiem istnienia decentralizacji. Centralizacja jest bowiem źródłem biurokracji, jest niczym choroba, która zaciąża dobremu funkcjonowaniu każdej przedsiębiorczości publicznej. W obecnym stanie rzeczy panuje tendencja, że nacjonalizacja prowadzić musi do odgórnej unifikacji przedsiębiorstw. Byłoby jednak o wiele bardziej wskazanym uważać nacjonalizację za uzyskanie przez państwo różnych przedsiębiorstw prywatnych, które zostają włączone w system raczej federalny, a nie zcentralizowany. Organizacja przedsiębiorstw znacjonalizowanych winna mieć charakter regionalny t. j. winna polegać na powierzeniu odpowiedzialności zarządom lokalnym. Aby robotnicy i konsumenci mogli być realnie dumni z partycypowania w danym przemyśle znacjonalizowanym winni być reprezentowani przy każdym zarządzie za pośrednictwem rad robotników i konsumentów. Zdaniem Ernest Davies'a dla zapewnienia dobrego funkcjonowania przedsiębiorstw znacjonalizowanych następujące argumenty winny być uwzględnione:

1) Znacjonalizowany dział przemysłu winien znajdować się pod kontrolą państwa, wykonywaną za pośrednictwem właściwego ministra, z tym jednak, że interwencja rządu oczekiwana zostaje jedynie do wypadków, w których zachodzi potrzeba dostosowania działalności przemysłu znacjonalizowanego do ogólnych wytycznych polityki rządu.
2) Władza ministra wina być ściśle określona. Dla zapewnienia realnej współpracy winien minister przed powzięciem decyzji porozumiewać się z zarządem danego działu przemysłu oraz zasięgać opinii powołanych w tym celu Komitetów w skład których wchodziliby przedstawiciele związków zawodowych, samorządów, izb przemysłowych i konsumentów.
3) Zarząd przemysłu znacjonalizowanego winien być zdecentralizowany zarówno w zakresie administracyjnym, jak i organizacyjnym. Decentralizacja jest warunkiem pozyskania zaufania robotników i konsumentów do przemysłu znacjonalizowanego. Centralny zarząd winien decydować jedynie w sprawach, które dotyczą całego działu przemysłu znacjonalizowanego.
4) Szczególnie ważnym jest wprowadzenie współpracy pomiędzy personelem zarządu a robotnikami jako jeden z warunków, prowadzących do wyrobienia się poczucia obowiązku publicznego. Pamiętać bowiem należy, że nacjonalizacja nie osiągnie zamierzonych celów jeśli moment wypełnienia obowiązku publicznego nie zastąpi momentu wyzysku, który stanowił w przedsiębiorstwach prywatnych główny bodziec do zwiększenia produktywności.
5) Równie ważnym jest udział społeczeństwa w przedsiębiorstwie znacjonalizowanym w formie współpracy konsumentów z zarządem przedsiębiorstwa. Im silniejsze będzie związanie konsumentów ze sprawami dotyczącymi przedsiębiorstwa znacjonalizowanego, tym silniejszą będzie w społeczeństwie świadomość kolektywnej własności danego przedsiębiorstwa.
6) Wyniki działalności zarządów poszczególnych działów znacjonalizowanych przemysłów winny być publikowane.
7) Przedsiębiorstwo znacjonalizowane winno utrzymywać swą niezależność i być samowystarczalnym pod względem finansowym. Ostatecznym miernikiem oceny nie będzie jednak rentowność bezpośrednia, ale jakości usług, które przedsiębiorstwo oddaje oraz stopień wydajności w nim osiągnięty.

Benelux

W 1944 r. rządy Belgii, Luxemburga i Holandii podpisały w Lucynie konwencję celną, której rozpracowanie znalazło wyraz w protokóle podpisanym na wiosnę roku bieżącego w Hadze.

Układ o unii gospodarczej Beneluxu dzieli się na następujące części:

1) Ustalenie wspólnej taryfy celnej na wszystkie importowane z innych krajów na obszar unii towary. Taryfa ta obowiązuje od 1 września b. r. Towary wytworzone w obrębie Beneluxu mogą być przewożone do wszystkich państw członkowskich bez żadnych opałt celnych. Utrzymane są jednak granice celne między krajami Beneluxu, przy czym opłaty celne pobiera się od towarów wyprodukowanych przez kraje nie wchodzące w skład unii.

2) Zrównanie wysokości akcyz, podatków dochodowych, obrotowych i podatków od luksusu. Wyrównanie istniejących różnic następować będzie stopniowo, aby nie dopuścić do zaszkodzenia przemysłowi jednego z krajów Beneluxu.

3) Zniesienie granicy celnej pomiędzy krajami unii. Nastąpi to po zrównaniu na terenie unii zarobków i obciążeń fiskalnych.

Unia celna, która wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 1948 r. ma być zasadniczym krokiem na drodze prowadzącej do zawarcia ekonomicznej unii pomiędzy powyższymi państwami, (t. zw. Benelux).

Zastanawiając się nad znaczeniem i szansami efektywnego prosperowania Benelux'u w pierwszym rzędzie podkreślić należy, że unia ta byłaby trzecią z rzędu potęgą handlową na świecie o rocznej wartości obrotu (import i eksport) około 25 miliardów dolarów.

Na specjalną uwagę zasługuje jednak sytuacja Holandii w ramach unii. W obecnej chwili Holandia ma przed sobą dwa problemy do rozwiązania.

Pierwszym z nich jest Indonezja, której utrata byłaby równoznaczną z obniżeniem standartu życiowego do jednej trzeciej dotychczasowego poziomu.

Drugim problemem są Niemcy, które były zawsze normalnym zapleczem Holandii. O ile ze względów politycznych z obawą spoglądają Holendrzy na możliwość odbudowy gospodarczej Niemiec, to ze względów gospodarczych potrzebną jest im ona, gdyż stanowi wprost konieczność życiową Holandii. Nie można bowiem pominąć faktu, że przed rokiem 1939 udział Niemiec w imporcie Holandii wynosił 25 proc., a 14 proc. ogólnego jej eksportu szło do Niemiec. Po wojnie obroty handlowe między obu krajami zamarły zupełnie. Brak kontaktu handlowego z Niemcami, jak i ogólny upadek ekonomiczny Niemiec. Szczególnie dotkliwie odbija się na ruchu portów holenderskich i żegludze na Renie, stanowiących jeden z ważniejszych czynników ożywienia gospodarczego kraju.

Jest zrozumiałym, że w tym stanie rzeczy Holendrzy dużą przywiązują wagę do unii z Belgią i Luxemburgiem, która zastąpiłaby w znacznej mierze rolę, którą decydowały Niemcy w gospodarce holenderskiej.

Równocześnie daje się zaobserwować pewną rezerwę Holandii w stosunku do projektu unii. Pomijając bowiem nieuniknione sprzeczności interesów — Rotterdam — Antwerpia — rolnictwo Flamandii do rolnictwa Holandii istnieje niemal, że przepaść między warunkami w obu państwach podczas wojny i od chwili jej zakończenia. O ile działania wojenne przeszedłszy szybko przez Belgię, pozostawiły gospodarkę belgijską prawie, że nie zniszczoną, to w Holandii spowodowały utratę jednej trzeciej lub nawet może połowę majątku narodowego. O ile Indonezja jest dzisiaj ciężarem dla Holandii, to Kongo belgijskie stanowi najpoważniejszy aktyw Belgii. Konieczność życiowa była powodem wprowadzenia w Holandii ścisłej kontroli państwowej i reglamentacji konsumcji.

Duże rezerwy dolarowe zostały w Belgii przeznaczone na pokrycie importu, który pozwolił na zniesienie reglamentacji. W rezultacie miał miejsce bardzo szybki wzrost produkcji.

Jasnym jest, że w tak różnych warunkach i okolicznościach duża istnieje różnica pomiędzy obu państwami na odcinku cen i płac. Różnica ta musi być zniwelowana przed przeprowadzeniem integracji obu gospodarstw. Duże też stoją zadania oraz dużą dozę dobrej woli wykazać muszą rządy obu krajów, aby zamierzonej integracji ekonomicznej nie stanęły na przeszkodzie wspomniane trudności.

Trudno przewidzieć, aby Benelux mógł rozwiązać zasadniczo aktualne problemy Holandii, aby mógł zastąpić rolę, którą Niemcy odegrywały w rozwoju gospodarczym Holandii, aby mógł być substytutem w handlu zagranicznym Holandii, w wypadku utraty Indochin. Pomimo wszystko Benelux będzie miał duże znaczenie i dla Holandii.

Urealnienie Benelux'u ma również bardziej ogólne znaczenie, gdyż będzie stanowiło nowy wyłom od systemu okresu międzywojennego samowystarczalnych państw narodowych oraz etap do dobrowolnego tworzenia się większych organizmów gospodarczych, w którym to kierunku obecny poziom techniki i konieczność zwiększenia wydajności nieuchronnie pchają wszystkie słabsze gospodarczo państwa Europy.

Nadesłano

WYD. B. KĄDZIELA, WARSZAWA

Sobociński Leon: NA GRUZACH SMĘTKA, str. 248 plus 36 ilustracji, Warszawa, 1947.

„CZYTELNIK", WARSZAWA 1947

Józef Ignacy Kraszewski: HRABINA COSEL. Powieść historyczna, tomów 2. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Adam Bar. Str. XXIV plus 458.

Gustaw Daniłowski: Z MINIONYCH DNI. Fragmenty powieściowe, str. 192.

Michał Priszwin: KORZEŃ ŻYCIA i inne opowiadania, str. 270.

Janusz Meissner: WYSPA OSTATNIEJ NADZIEI, str. 142.

Mirosław Żuławski: OSTATNIA EUROPA. Trzy miniatury, str. 136.

ZWIĄZEK ZAWODOWY LITERATÓW POLSKICH

(Oddział Wiejski)

Stanisław Nędza-Kubiniec: JANOSIK. Poemat o zbójniku, który chciał porównać świat, str. 48. Kraków 1947.

INSTYTUT ZACHODNI, POZNAŃ 1947

Janusz Pajewski: NIEMCY W CZASACH NOWOŻYTNYCH 1517—1939, str. 344.

ZIEMIA LUBUSKA.

WIELKOPOLSKA ZACHODNIA.

MAPA komunikacyjno - administracyjna wraz ze skorowidzem nazw. Podziałka 1:300.000.

„POLIGRAFIKA" ŁÓDŹ 1947

Jerzy Płażewski: DRUGA WOJNA ŚWIATOWA. Chronologiczne zestawienie zdarzeń od Monachium do Poczdamu, 28.XI.1938—2.VIII.45 str. 254.

M. KOWALSKI, KATOWICE 1946

Zbyszko Bednor: GLOSSY ŚLĄSKIE wyd. II. Z drzeworytami prof. St. Jakubowskiego, str. 31 plus 4 nlb.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA", WARSZAWA 1947

KALENDARZ ROBOTNICZY na r. 1948, str. 504.

BAJKA POLSKA WIEKU OŚWIECENIA W WYBORZE, str. 108, zł. 120. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych Nr 22 pod redakcją Kazimierza Budzyka. Opracował Stanisław Adamczewski.

Bałucki Michał: GRUBE RYBY. str. 112, zł 120. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych Nr 21 pod red. Kazimierza Budzyka. Opracowała Janina Żurawiecka.

Bylina Wojciech: KONFERENCJA MOSKIEWSKA, str. 24, zł 40 (10.III—24.IX 1947 r.).

Czarnowski Jan W.: ELEKTRYFIKACJA WSI W POLSCE, str. 204, zł 320. Zagadnienia Gospodarcze i Techniczne.

Gomułka Władysław - Wiesław: W WALCE O DEMOKRACJĘ LUDOWĄ 2 tomy, str. 606, zł 370. Artykuły i przemówienia.

Konopnicka Maria: POEZJE, str. 44, zł 50. Wybór dla klasy VI szkoły podstawowej. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych Nr 18 pod redakcją Kazimierza Budzyka. Opr Stanisław Adamczewski.

Piętak Stanisław: BIAŁOWIEJSKIE NOCE. str. 188, zł 380. Powieść. Dalsza część „Młodość Jasia Kunefała".

Prus Bolesław: ANIELKA, str. 196, zł 120. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych Nr 15 pod red. Kazimierza Budzyka. Oprac. Zygmunt Szweykowski.

Prus Bolesław: ANTEK, str. 32, zł 35. Mała Biblioteczka „Książki". — Wyd. II.

Starewicz A.: 30 LAT BUDOWNICTWA SOCJALISTYCZNEGO W ZSRR, str. 128, zł 150.

Stendhal: CZERWONE I CZARNE, str. 568, zł 600. Dwa tomy. Przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Żeleński (Boy).

Witkiewicz Stanisław: MICKIEWICZ JAKO KOLORYSTA. str. 40, zł 65. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych Nr 19 pod red. Kazimierza Budzyka. Oprac. Jan Jakubowski.

Bobińska Celina: O PROSTYM CZŁOWIEKU W ZSRR, str. 116, zł 150.
Brzechwa Jan: BAŚŃ O STALOWYM JEŻU, str. 44, zł 200. Ilustracje Anny Chamiec. Wierszowana bajeczka dla dzieci.
Kurski Aleksander: POWOJENNY PLAN PIĘCIOLETNI W Z.S.R.R., str. 144.
Lider J.: Z.S.R.R. W ODBUDOWIE, str. 62. Album w opracowaniu graficznym S. Bojko i W. Kalickiego.
Prus Bolesław: POWRACAJĄCA FALA, (wydanie drugie, str. 84. Mała Biblioteczka „Książki".
Rawlings K. Marjorie: ROCZNIAK, str. 418, zł 650. Przekład Adama Galisa
Słowacki Juliusz: ANHELLI, str. 58 zł 80.—. Biblioteka Pisarzy polskich i obcych Nr 23, pod red. Kazimierza Budzyka. Oprac. Juliusza W. Gomulicki. Wstępem opatrzył Jan Zygmunt Jakubowski.

Stalin J.: ZAGADNIENIA LENINIZMU, str. 564, zł 600.—.

KSIĘGARNIA ŁOWICKA, ŁOWICZ 1947.
Wegner Jan, dr: ŁOWICZ W LATACH „POTOPU", str. 187, plus 1 tablica.

„VERBUM" — KIELCE.
ks. Czesław Falkowski: SIOSTRA NULLA, SŁUŻEBNICA KRZYŻA, str. 32.

„GŁOS KARMELU", KRAKÓW 1947.
MAŁE OFICIUM O NAJŚWIĘTSZEJ MARII PANNIE: wg. brewiarza rzymskiego, str. 170.

WYD. WŁ. BĄKA — 1947.
Dębrowolska Halina Maria: O KAROLU IRZYKOWSKIM. Wspomnienie biograficzne i komentarze do dzieł oraz Karola Irzykowskiego część niewydanych rękopisów, str. 160 — 8.
Zawodziński K. W.: STULECIE TRÓJCY POWIEŚCIOPISARZY. Studia nad Społecznym i Artystycznym znaczeniem dzieła Orzeszkowej, Prusa, Sienkiewicza. Łódź — Wrocław 1947, str. 112.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA" — WARSZAWA 1947.
Zola Emil: GERMINAL (tomów 2), str. 450.
Kingsley Charles: NA PODBÓJ ŚWIATA, przeł. Z. Popławska, str. 279, plus 4 tabl.
Winogradow Anatol: POTĘPIENIEC PAGANINIEGO, przeł. Włodzimierz Słobodnik, str. 464.
Kipling Rudyard: KSIĘGA DŻUNGLI. Przekład autoryzowany J. Birkenmajera, wyd. 4, str. 204.
Strug Andrzej: LUDZIE PODZIEMNI. Wstępem opatrzył dr Paweł Gdula, str. 216, plus XVIII, plus 2 nlb.
Gojawiczyńska Pola: ZIEMIA ELŻBIETY. Wyd. III, str. 206.
Balsac: HISTORIA WIELKOŚCI I UPADKU CEZARA BIROTTEAU. Przeł. i wstępem opatrzył Boy-Żeleński, str. 330.
Michaelis Karin: DZIECI Z NYHAVN, z 50 ilustracjami Marii Hjuler, str. 204, 1948.
Zawada Mieczysław: STEFAN OKRZEJA 1886 — 1905, str. 42.

WYD. J. PRZEWORSKIEGO, WARSZAWA 1947.
Hurst Fannie: IMITACJA ŻYCIA, Powieść, str. 404.

INSTYTUT ZACHODNI, POZNAŃ 1948.
Kazimierz Tymieniecki: DZIEJE NIEMIEC, do początku ery nowożytnej. Studium Niemcoznawcza Instytutu Zachodniego.

WYD. EUGENIUSZ KUTHAN, WARSZAWA — KRAKÓW 1948.
Dąbrowska Maria: BOGUMIŁ I STANISŁAW. Dramat wysnuty z dziejów jedenastego wieku, str. 108.
NAKŁ. ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LITERATÓW POLSKICH W ŁODZI, 1948.
Pasternak Leon: LINIA ŻYCIA, str. 78, plus 2 nlb.
BIBLIOTEKA ODDZIAŁU WIEJSKIEGO ZW. ZAW. LITERATÓW POLSKICH, KRAKÓW 1947.
Jan Bolesław Ożóg: JEJ WIELKI WÓZ, str. 116.

NAKŁADEM ADMINISTRACJI „HASŁA OGRODNICZO - ROLNICZEGO".
KALENDARZ INFORMATOR „Hasła Ogrodniczo - Rolniczego na rok 1948. Rocznik IX. Pod redakcją **Antoniego Gładysza.** Tarnów 1948.

Czytelnik uważa że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO RED. „DZIŚ I JUTRO"

Między wielu mniej ważnymi błędami drukarskimi, jakie zakradły się do mego artykułu p. t. „Światopogląd ks. Jakubisiaka wobec nauki i objawienia" znajduje się jeden, którego nie mogę przepuścić. Chodzi o cytatę z „samego" Linneusza, którą wydrukowano — „Tot sunt species in natura quot creavit ab initio Infinitimum Eius". Zamiast „Eius" powinno być „Ens". W środku powinno być nie „ju", jak Jugurta, ale „N" jak Nauzyka. Oznacza to po polsku — „tyle jest w naturze gatunków, ile stworzył od początku Nieskończony Byt". Można „młócić," Jakimiaka, ale nie wolno Linneusza.

Proszę to wydrukować czym prędzej, bo jeżeli obskurny kamerzysta z „Odrodzenia" interesuje się filozofią, a w dodatku zna łacinę, to wpakuje mnie po raz trzeci do swej dziury i tym razem słusznie. W ten sposób będę cierpiał za cudze winy.

Zygmunt Jakimiak

WIELCE SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Proszę zamieścić następujące sprostowanie w związku z mym ostatnim artykułem:

W rzeczonym artykule „A jednak powtarzam...", na skutek wadliwej korekty, powinno być: „Pan, pisujący ostatnio czasem w organie Kardynała Sapiehy" (zamiast: Pan, publicysta organu kardynała Sapiehy).

W cytacie z Parrela powinno być: „Nie docenia się na ogół wagi, jaką przedstawia dla kobiety funkcja rodzicielska. Funkcja ta jest nieodzowna dla jej pełnego rozkwitu. Toteż absurdem jest odwodzenie kobiety od macierzyństwa. Nie należy dawać dziewczętom tego samego ukształtowania intelektualnego, tego samego trybu życia, wpajać tych samych ideałów, które się wpaja chłopcom... Między obu płciami istnieją różnice nieodwołalne. Konieczne trzeba się z tym liczyć w budowaniu świata cywilizacji" (str. 76).

Z poważaniem
W. Majdański

CZYTELNIK UWAŻA, ŻE..." DO P. T. REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Uprzejmie proszę o łaskawe umieszczenie poniższych uwag na łamach Waszego poczytnego tygodnika.

W Nr 135 „Przekroju" J. Tuwim zwrócił uwagę K. I. Gałczyńskiego na wielką odpowiedzialność poety za swe słowa. Słusznie zaprotestował „przeciw lekkomyślnemu pochwaleniu jednym tchem grzesznika i świętego". Jeszcze słuszniej przypomniał, że: „Nie wolno nam, poetom, chodzić dziś po świecie z zamkniętymi oczyma..." — Lecz trudno się zgodzić na dalsze słowa tegoż zdania „i zapadać w franciszkański błogostan wszechmiłości i wszechprzebaczenia".

Takie zestawienie franciszkanizmu, prądu wprost rewolucyjnego w średniowieczu, z błogostanem (czyli szukaniem spokoju za wszelką cenę) jest krzywdą dla wybitnie czynnej i humanistycznej postawy franciszkańskiej wobec życia. Franciszkanizm uczy kochać człowieka i przebaczać nawet grzesznikowi — ale nie błogosławi, lecz zwalcza jego wady i złe czyny. A w swym stosunku do człowieka franciszkanizm nie ma nic z hipokryzji... Przykładem tego Dante, który wychowany w orbicie wpływów franciszkańskich, jest bezkompromisowym oskarżycielem ludzkiej nikczemności.

P. S. Jeżeli źle zrozumiałem wypowiedź J. Tuwima i ośmieliłem się prostować sens jego słów — to ta omyłka niech będzie jednym więcej dowodem, jak nieprzewidziane są echa autorytatywnego, lecz przez Poetę nie określonego dokładnie, słowa.

L. J. Bernatek

DO RED. „DZIŚ I JUTRO" O CHLEB DLA LICZNYCH RODZIN!

Obowiązkiem każdego jest w miarę możności przyczynienie się do polepszenia warunków bytu ogółu lub też bicie na alarm, jeżeli na jakimś odcinku dzieje się źle. Jak wszyscy widzimy nasze życie na wielu odcinkach uległo pewnej normalizacji, przede wszystkim podniosły się realne płace, których wartość jest dziś w każdym bądź razie wyższa niż w 1945 r. Dziś już bowiem można powiedzieć, że płace którą otrzymuje obecnie samotny pracownik pracujący w jakimś państwowym przedsiębiorstwie czy fabryce wystarcza przy oszczędnym trybie życia do utrzymania pewnego minimalnego standartu życiowego.

Niestety nie można tego powiedzieć o tych, którzy posiadają rodziny, a tym bardziej rodziny liczniejsze. Dlatego też należy bić na alarm, że na tym odcinku dzieje się bezwzględnie źle i należy dążyć do poprawy na lepsze.

Załóżmy, że pracownik zarabia przeciętnie 6.000 zł. Suma ta wystarcza do skromnego życia dla samotnego. Zaznaczyć przy tym należy, że w powyższą sumę wliczyłem również premie dawane przy akordowym systemie pracy. Uważać zaś należy, że pracownik zwłaszcza posiadający rodzinę, wyda z siebie przy pracy akordowej maximum wysiłku, aby jak najwięcej zarobić. Tą więc drogą nie może on już podwyższyć swego zarobku i tu dochodzimy do sedna rzeczy do tak zwanych dodatków rodzinnych. Nietrudno obliczyć, że koszt minimalny utrzymania jednego dziecka do lat czternastu będzie wynosił około sto złotych. Zaznaczam — minimalny to znaczy przy bardzo oszczędnym życiu. Miesięcznie wyniesie to trzy tysiące sto złotych, tyle więc powinien wynosić dodatek na jedno dziecko.

W jakiej formie ten dodatek będzie dany, jest rzeczą całkowicie obojętną. Przyjęte są u nas obecnie dwie formy: forma pieniężna i forma dodatku żywnościowego przez tak zwane karty rodzinne. Niestety dziś nawet te dwie formy razem wzięte nie dają wystarczającego minimum. Ten stan rzeczy musi ulec zmianie, jeżeli nie chcemy dopuścić do skarłowacenia młodego pokolenia, do szerzenia się gruźlicy i innych chorób, do ograniczania potomstwa — do depopulacji.

W tej sprawie nie może mieć nikt wątpliwości. Pozostałaby jedynie kwestia wykonania. Jeżeli chodzi o przedsiębiorstwa państwowe czy spółdzielcze to sprawa ta jest na ogół dosyć prosta. Komplikuje się jednakowoż, gdy przechodzimy do inicjatywy prywatnej. Tu bowiem większa płaca dla pracownika posiadającego liczniejszą rodzinę spowodowałaby ograniczenie przyjmowania takich pracowników. Można by tego uniknąć w ten sposób, że każdy z pracodawców płaciłby pewien procent od płacy do jakiejś instytucji. Od tego wyrównania mógłby odrazu odliczyć dodatki dla swoich pracowników. Aby nie tworzyć nowych instytucji w tym celu, należałoby posłużyć się jakąś z już istniejących n. p. urzędami skarbowymi czy ubezpieczalniami społecznymi. Najodpowiedniejszymi do tego celu wydają mi się urzędy skarbowe, jako dysponujące odpowiednio wyszkolonym personelem. Z tych instytucji pobieraliby dodatek rodzinny pracownicy, którym pracodawca go nie wypłacił, ponieważ nie starczył na to procent przeznaczony na wyrównanie, gdyż pracodawca zatrudniał większą ilość pracowników, posiadających rodziny. Pozostałaby jeszcze kwestia dodatków rodzinnych dla pracowników lepiej uposażonych. Byłoby tu ideałem, gdyby mogli oni otrzymywać takie same dodatki jak pracownicy pobierający niższe płace, gdyż przecież wyższa płaca ma być nagrodą za wyższe kwalifikacje połączone z poprzednią nauką, studiami itp. Jednakowo ponieważ dziś znajduje się państwo w ciężkiej sytuacji, spowodowanej zniszczeniami wojennymi, powinni ci pracownicy otrzymywać dodatki rodzinne mniejsze takie jednakowoż, by płaca ich wraz z dodatkami wynosiła odpowiednio więcej niż płaca pracownika o niższych kwalifikacjach, posiadającego tą samą ilość dzieci. Związki Zawodowe stanowiące organ wykonawczy klasy pracującej powinny dążyć do zrealizowania tych skromnych postulatów świata pracy.

M. Zurek
student wydz. prawno-ekonom.
U. M. K. w Toruniu

Jacek Woźniakowski

Ciapuś nie jest winien

Wujcio Kleofas był szalenie wesoły, wszyscy go strasznie lubili, bawił się jak szatan i puścił przy kazji wszystkie pieniądze cioci Eulalii. Dziadzio Atanazy — przeciwnie — odznaczał się w sferze materialnej dużym poczuciem rzeczywistości, uciułał spory mająteczek, ale znacznie bardziej wybił się na innym polu: straszny był babiarz, pożeracz serc; o ho ho, filut był z tego dziadzia Atanazego! Najwybitniejszy jednak w całej rodzinie jest kuzyn Pantaleon, fan-tas-tycz-nie zdolny; przechodził z klasy do klasy choć nic się — bestia — nie uczył, nawet prawie skończył uniwersytet. Teraz ma dosyć lichą posadkę, ale gryzipiórstwo, to nie dla niego; nie dziwota, że nic nie robi. Pewnie go wkrótce wyleją, ale on i tak już dawno ogląda się za czymś innym. Powinni się cieszyć ci, co go dostaną; taki — bestia — zdolny!

Jakaż rodzina nie ma bohatera w tym rodzaju? Zmieniają się imiona i zawody; zmienia się nieco w różnych warstwach społecznych stopień zachwytu dla tych czy innych gatunków „heroizmu"; pozostaje pełna aprobaty krytyka, porozumiewawcze mrugnięcie okiem, mit. A dziecko pęta się między starszymi, słucha i myśli: ja też będę taki zdolny, że nic się nie będę uczyć i taki będę filut, że mnie wszyscy będą lubić.

Poczem następuje przy drzwiach zamkniętych posiedzenie nieoficjalnej rady familijnej, która ręce łamie, że Szpecio jest taki leniwy, a Ciapuś wykazuje wiele złych skłonności.

•

Wydaje mi się, że mamy zdumiewającą nieświadomość ujemnej wartości wychowawczej pewnych tradycyjnych wzorów życiowych, reprezentowanych przez określony typ człowieka. Nieświadomość ta obejmuje dwie sprawy: samą wartość wzoru i olbrzymi wpływ, jaki wzór wywołuje na kształtowanie się psychiki dziecka.

Co my właściwie cenimy w tym hulace, czy leniuchu? Cenimy niewątpliwie elementy dodatnie: jakiś rozmach życiowy, urok osobisty, zdolności. I na podstawie tych cech, które nam się podobają, albo nam imponują, tworzymy wzór heroiczny, beztrosko wciągając w aureolę „heroizmu" bynajmniej nie nadające się do tego sprawy. Rozmach — dobrze; hulał — źle; a jednak — co rozmach, to rozmach! I niepostrzeżenie — hulanie staje się symbolem rozmachu

Niezależnie od tego —dziwny wzór „bohatera" miewa inne jeszcze pochodzenie: wywodzi się ze skostniałych, martwych konwencji.

Bywa spuścizną po formach obyczajowych, które dawno straciły wszelki sens, albo nigdy go nie miały, a tylko kwitły ongiś w środowiskach, fabrykujących je — z braku innych zmartwień. Ale przede wszystkim, jak już wspomniałem ów wzór opiera się na absurdalnych skojarzeniach. Kmicic wprawdzie upijał się z „Kompanią", ale potem zdziałał parę innych rzeczy; dziś wystarczy, żeby się ktoś urżnął i zrobił głupią burdę, a powiedzą: ten ma temperament! Istny Kmicic!

Jeżeli przesadzam, to chyba niebardzo.

•

Gdyby zapytać rodziców Ciapusia: czy chcecie, żeby synalek wdał się w dziadzia Atanazego albo wujcia Kleofasa? Zakrzyknęliby jednogłośnie: uchowaj Boże! Wiedzą doskonale, na jakiego człowieka wyrosnąć ma ich dziecko. Udzielają mu wielu nauk moralnych. Sami dają najlepszy przykład. Ale ponieważ istnieje wśród rodziny i przyjaciół zwyczaj mrugania okiem, kiedy mowa o dziadziu Atanazym, oni też mrugają, i jakoś nie przychodzi im do głowy, że Ciapuś wyciąga z tego dalego idące wnioski. I bardziej mu się podobają dzwne przygody wujcia Kleofasa, niż nudna książeczka o pobożnym chłopczyku, którą dostał na imieniny.

Ciapuś — to prawda — wykazuje wiele złych skłonności. Ale Ciapuś nie jest winien.

Nowość! Nowość!
PISMO ŚWIĘTE Nowego Testamentu
Wstęp, nowy przekład z Wulgaty komentarz
przez
Ks. Eugenjusza Dąbrowskiego
Wydanie podręczne
Albertinum
Księgarnia św. Wojciecha Poznań-Warszawa-Lublin

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna. Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych
Druk. Skolimowska 5.
B—41063